

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Jerzy Edigey

DIABEŁ

PRZYCHODZI NOCĄ



ISKRY · WARSZAWA · 1974

Przed kilkoma laty opinia publiczna Wrocławia została zaalarmowana całą serią tajemniczych morderstw i zuchwałych włamań oraz kradzieży.

Pewien procent tych przestępstw został nie wykryty, ale milicji udało się po bardzo znużającym i ciężkim dochodzeniu ująć niebezpiecznego bandytę i dowieść mu czterech popełnionych przez niego zabójstw oraz zastrzelenia psa — pięknego i mądrego owczarka alzackiego.

Dzisiaj, po upływie kilkunastu lat, można już odstłonić kulisy całej historii i na tym przykładzie pokazać, jak ciężka jest praca milicji w walce z przestępczością i jak nieraz mały drobiazg może być momentem zwrotnym całego dochodzenia.

Wielokrotnie studiowałem grube teczki akt, nie upiększyłem i nie zmieniłem tu niczego. Jedyne nazwiska ofiar mordercy zastąpiłem literkami. Rozmawiałem z prokuratorem, który wnosił akt oskarżenia, konferowałem z oficerami milicji, prowadzącymi dochodzenie. Każdemu z nich zadawałem to samo pytanie:

— Czy sprawa została wyjaśniona całkowicie? Czy morderca ma na sumieniu tylko te cztery ofiary?

Na to pytanie nie otrzymałem jeszcze odpowiedzi. Sprawa była tak trudna i skomplikowana, że — być może — nie wyświetlono całej prawdy.

Jednakże fakt, że groźnego przestępcę ujęto, położono kres jego krwawej działalności i dowiedziono mu czterech zbrodni, był niewątpliwie wielkim sukcesem organów sprawiedliwości.

Biegłym sądowym zadałem także pytanie:

— Czy ten człowiek, którego całe postępowanie jest mało zrozumiałe dla normalnych ludzi, nie był osobnikiem chorym psychicznie, na przykład schizofrenikiem?

— Na pewno nie — brzmiała jednogłośnie opinia biegłych. — Morderca w trakcie całej swojej działalności wykazywał piekielny wprost spryt. Na wypadek „wsypy“ asekurował się, liczył, że wprowadzi w błąd zarówno sąd.

jak i specjalistów. i ocali w ten sposób głowę. Był zupełnie normalnym człowiekiem, jak każdy z nas.

Sąd Wojewódzki we Wrocławiu podzielił opinię biegłych. Sąd Najwyższy zatwierdził wyrok. Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski.

Rozdział I MANDAT I ARCHIWUM

Spieszyłem się na spotkanie. Było już dziesięć minut po umówionym terminie. Wiedziałem, że mój przyjaciel, major Waław Krzyżewski z Komendy Wojewódzkiej MO we Wrocławiu, jest niesłychanie punktualny i bardzo nie lubi spóźniałskich. Tymczasem tak się złożyło, że przepychałem się przez jak zwykle zatłoczoną ulicę Świerczewskiego, zamiast siedzieć o tej porze w kawiarni hotelu „Monopol“ i czekać na oficera milicji. Przecież to ja byłem inicjatorem dzisiejszego spotkania. Krzyżewski sugerował inny dzień i godzinę — był bardzo zajęty. Uległ tylko mojemu argumentowi, że jestem we Wrocławiu przejazdem, niecałe cztery godziny.

A ja zawiódłem.

Chodnik po drugiej stronie ulicy wydawał mi się mniej zatłoczony.

Rozejrzałem się na lewo, na prawo i z ręcznie la- wirując między samochodami prawie biegiem przeciąłem jezdnię na skos. Niestety nie zauważyłem po drugiej stronie ulicy milicjanta z paskiem pod brodą. Już z daleka śmiał się do mnie i wyjmował bloczek ze swojej torby.

Zły jak wszyscy diabli, zapłaciłem mandat. Znowu straciłem kilka minut, bo milicjant uparł się nie tylko zainkasować dziesiątaka, ale również przestudiować od deski do deski mój dowód osobisty oraz udzielić mi kilku upomnień: że „być może w Warszawie można przechodzić ulicę,- gdzie się chce, ale Wrocław jest wielkim miastem i u nas wyłącznie na skrzyżowaniu“.

Prawie biegiem wpadłem do „Monopolu“. Major ze znudzoną miną wertował jakąś gazetę. Pusta filiżanka po kawie świadczyła, że i tym razem był punktualny. Nie wiadomo dlaczego to mnie jeszcze bardziej rozżłościło.

Nie witając się nawet, rzuciłem na stolik zadrukowaną kartkę papieru.

— To skandal, co ta milicja wyprawia we Wrocławiu! — powiedziałem. —

Na pustych ulicach urząda się istne zasadzki na przechodniów. Trzy samochody przejadą na godzinę, a oni łapią mandaty...

Krzyżewski się uśmiechnął.

— Niech major weźmie sobie ten świstek i schowa do archiwum. Na pamiątkę, jak tu traktuje się przyjezdnych.

Mój przyjaciel bez słowa sięgnął po leżący na blacie stolika mandat, obejrzał go uważnie i spokojnie schował do kieszeni.

— Kto wie, może i ten mandat kiedyś się przyda? W archiwum milicyjnym znajduje się tysiące czy nawet dziesiątki tysięcy najrozmaitszych dokumentów. Zdawałoby się: świstki, nikomu niepotrzebne. A jednak pewnego dnia te szpargały, wyciągnięte z przepastnych szuflad czy szaf archiwum, nagle demas-

kują przestępcę. Zdarza się, że właśnie posyłają go na szubienicę.

— Na przykład mój mandat — roześmiałem się.

— Na przykład taki właśnie mandat. Jest on dowodem, że był pan w dniu dzisiejszym we Wrocławiu. Łatwo też stwierdzić, że wystawił ten mandat milicjant pełniący służbę w rejonie Dworca Głównego. Gdyby pan kiedykolwiek -usiłował twierdzić, że nigdy nie był we Wrocławiu i nie zna tego miasta, ten świstek papieru obali taką tezę.

— Przecież nie będę się zapierał, że dobrze znam Wrocław, często tu bywam, i że byłem tu dzisiaj.

— Pan nie jest przestępcą, i nie ma żadnego interesu w wypieraniu się bytności w naszym grodzie. Ale ilu różnych zbrodniarzy usiłuje nam codziennie przedstawić fałszywe alibi? Wtedy właśnie takie dowody, wyciągnięte z archiwum milicyjnego, demaskują przestępcę.

— No tak — potwierdziłem niezbyt przekonany.

— Przestępca, któremu udało się zbiec i uniknąć bezpośredniego pościgu, zwykle jest pewny, że na tym sprawa się skończyła. Nie wie, że najdrobniejszy ślad znaleziony na miejscu jego czynu — odcisk stopy, niedopałek papierosa, zapałka, kartka papieru czy łuska rewolwerowa —

wszystko to zostało skrzętnie sfotografowane, zebrane i schowane do archiwum. Tam czeka krócej lub dłużej, aby wreszcie wskazać sprawcę zbrodni.

Gdyby nie nasze archiwum, nigdy byśmy przecież nie rozwiązali sprawy tajemniczych morderstw, które przez kilka lat nękały mieszkańców Wrocławia, a oficerom milicji prowadzącym dochodzenie spędzały sen z powiek. Mówię o sprawie noszącej w naszych aktach kryptonim „Diabeł

przychodzi nocą“. Tylko dzięki temu wyśmiewanemu przez pana archiwum przestępca został zdemaskowany i poszedł na szubienicę...

Znałem dobrze swojego przyjaciela. Wiedziałem, że choćbym go błagał na kolanach, nigdy nie pochwali się żadnym ze swoich licznych sukcesów. Ale też wiedziałem, że jeśli szczęśliwy przypadek na prowadzi go w rozmowie na jakieś ciekawe wspomnienie, wtedy majora nie trzeba prosić.

O sprawie „Diabeł przychodzi nocą“ słyszałem już nieraz. Wielekroć usiłowałem wydobyć z majora coś na ten temat. Dotychczas nigdy mi się to nie udało. A teraz Krzyżewski nie proszony, lecz jedynie sprowokowany moją przypadkową uwagą, sam podjął ten temat.

Poprawiłem się w fotelu. Wyciągnąłem notes i długopis. Byłem pewien dwóch rzeczy. Po pierwsze — major nic przestanie mówić, aż opowie mi całą historię. Po drugie — nie ma mowy, żebym zdążył na pociąg, który odchodzi za godzinę.

Pal licha pociąg! Taki sam przecież odjedzie jutro o zwykłej porze. A na-stępna okazja, żeby zapoznać się z dziejami „wampira Wrocławia“, może nigdy się nie zdarzyć.

Dzisiaj, kiedy na studiowanie grubych teczek akt dochodzenia milicyjnego oraz protokołów rozpraw sądowych straciłem wiele dni i wiele, wiele godzin spędziłem na rozmowach nie tylko z majorem Krzyżewskim, ale i z innymi oficerami, prowadzącymi tę sprawę, a także z prokuratorem oraz sędziami, poznałem dokładnie przebieg tamtych tragicznych wydarzeń.

Cofnijmy się więc do lat 19515—1953.

Rozdział II ŚMIERĆ PSA

Wykrywalność sprawców morderstw w Polsce jest bardzo wysoka. Na tym polu nasza milicja bije na głowę rutynowane policje, jak na przykład włoską, amerykańską czy też zachodnioniemiecką.

A jednak we Wrocławiu, w latach 1955—1958 mieliśmy kilka zbrodni, które

pomimo energicznego dochodzenia milicyjnego pozostały bezkarne. W

końcu prokurator musiał umorzyć śledztwo. Nie znaczyło to, że Komenda Wojewódzka MO uważała te sprawy za zakończone. Przeciwnie, stale wracano do nich, usiłując uzyskać jakieś nowe dowody. Bezskutecznie.

Zdołano jedynie ustalić, że dwa zabójstwa dokonane zostały za pomocą tego samego pistoletu. Prawdopodobnie był to belgijski FN kaliber 6,35. Obie zbrodnie miały charakter rabunkowy. Ich ofiarami padli: wrocławski jubiler i przedsiębiorca budowlany.

Natomiast trzecie morderstwo, popełnione na pracowniku wytwórni filmowej, miało zagadkowy charakter. Tego człowieka zastrzelono, kiedy stał

w oknie swojego mieszkania. Zbrodnia wzbudziła nawet spory między fachowcami od balistyki.

Morderstwa dokonano również pociskiem kalibru 6,35, ale kula wyszła z innej lufy. Biegli ustalili, że tor pocisku był bardzo długi. Strzelający musiał znajdować się co najmniej o 25 metrów od swojej ofiary. Wydawało się mało prawdopodobne, aby z takiej odległości mógł ją trafić w samo serce, podobnie jak i to, że pocisk tak małego kalibru, wystrzelony z tak daleka, zdołał nie tylko przebić szyby podwójnego okna, ale i zabić stojącego za nim człowieka.

Ekspertyza kryminalistyczna wykazała, że kula, która ugodziła inżyniera, ma inne nacięcia na panczeru, a zatem wystrzelona została z innego pistoletu niż ten, którym posługiwał się zabójca jubilera i przedsiębiorcy budowlanego; początkowo więc nie łączono obu morderstw w jedną sprawę.

Milicja we Wrocławiu przeżywała złe dni. Prasa miejscowa niejednokrotnie powracała do nie wykrytych tajemniczych zabójstw, nie

-szczędząc władzom śledczym słów krytyki. Prokuratura Generalna i Komenda Główna MO również kategorycznie domagały się wyjaśnienia tych spraw i ujęcia morderców. Oficerowie dochodzeniowi, którym powierzono akta trzech zabójstw, często musieli wysłuchiwać niezbyt przyjemnych słów od zwierzchników, chociaż dwoili się i troili, prze słuchiwali dziesiątki świadków, używali wszelkich dostępnych milicji sposobów dla zdobycia jakichkolwiek informacji. Wszystko bez skutku!

W dniu 16 kwietnia 1958 roku zaszło wydarzenie tak dziwne, że znowu postawiło na nogi całą milicję wrocławską.

Pracownik Polskiego Radia. Zenon H., mieszkający w willowej dzielnicy miasta, miał psa — łagodnego owczarka alzackiego. Psisko było już dość wiekowe i jak każdy starszy pan miało swoje sympatie i antypatie. Te ostatnie były zawsze solidnie obszczekiwane. Poza tym pies, jak to później stwierdziła milicja, nigdy nikogo nie ugryzł. Nie miał też zwyczaju szczekać na przechodniów idących chodnikiem wzdłuż siatki, odgradzającej posiadłość pana Zenona od ulicy.

Szesnastego kwietnia późnym wieczorem, kiedy wilczura wypuszczono, żeby przed nocą pozafatwiał wszystkie swoje psie sprawy, pan Zenon usłyszał

dwa strzały rewolwerowe i zaraz potem skowyt psa. Gdy wybiegł do ogródka, zastał swojego ulubieńca już bez życia. W świetle ulicznej latarni widać było jakiegoś człowieka szybko się oddalającego.

Przed domem stał rower. Zenon H., niewiele się namyślając, wskoczył na siodełko i pognął za domniemanym zabójcą psa. Już go doganiał, kiedy uciekający odwrócił się z pistoletem w rękę. Rowerzysta nie stracił

przytomności. Błyskawicznie zeskoczył na ziemię i cisnął rowerem w stronę napastnika. Padły znowu dwa strzały. Na szczęście chybiły. Człowiek z pistoletem, korzystając z ciemności, wbiegł między pobliskie drzewa i zniknął z oczu Zenona H.

Dochodzenie w sprawie tajemniczych morderstw prowadził wtedy major Wacław Krzyżewski. Kiedy zameldowano mu

o dziwnym incydencie z psem i spotkaniu uzbrojonego osobnika, oficer milicji polecił dokonać sekcji biednego zwierzęcia i zawezwwał do siebie pracownika Polskiego Radia — właściciela nieżyjącego wilczura.

— To łobuz — oburzał się Zenon H. — Takiego pięknego psa mi zastrzelił. I za co? Stworzenie nikomu nigdy żadnej krzywdy nie zrobiło.

Nawet kiedy gonił

kota. robił to raczej z chęci powąchania go niż zagryzienia. Każde dziecko podchodziło do siatki i mogło go pogłaskać. Ja bym takiego..s

— Niech pan opisz mi wygląd tego człowieka — prosił oficer milicji.

— Bo ja wiem? — zmartwił się Zenon H. — Ciemno było na ulicy, panie majorze. A poza tym tak mnie krew zalewała na tego drania, że niewiele mu się przyglądałem.

— Jakiego był wzrostu? — major różnymi pytaniami usiłował ustalić rysopis napastnika. — Wyższy od pana?

— Chyba nie — odparł przesłuchiwany.

— Kiedy człowiek biegnie, zawsze trochę się przykurczy i pochyli do przodu.

Jak go goniłem rowerem, to wydawało mi się, że jest wyższy.

— A włosy? Blondyn, brunet?

— Miał czapkę — przypomniał sobie Zenon H. — Ciemną cyklistówkę z daszkiem nasuniętym głęboko na czoło. Kiedy odwrócił się z rewolwerem w rękę. nie widziałem jego twarzy. A potem to już bałem się gonić go dalej.

— A jak był ubrany?

— Na ciemno. Ciemny płaszcz czy też jesionka.

— Czarny? Szary? Granatowy?

—A bo ja wiem? W nocy wszystkie koty są szare.

— Poznałby pan tego człowieka?

— Chciałbym go poznać. Ja bym mu, draniowi...

— Nie chodzi mi o to — cierpliwie wyjaśniał major — co pan chciałby zrobić temu człowiekowi, tylko czyby go pan poznał? Gdybym tak tutaj pokazał panu ośmiu ludzi, a wśród nich i tego z pistoletem, który zastrzelił

psa, rozpoznałby go pan wśród tej grupy?

— Nie! — przyznał szczerze Zenon H.

— Nie przyjrzałem mu się dokładnie.

— Czy pan ma jakichś wrogów?

— Ja? Wrogów? — zdziwił się i zachnął przesłuchiwany. — A skąd?

Jestem zwykłym kierowcą samochodowym. Niedawno wprawdzie awansowano mnie na kierownika transportu, ale co to za awans? Kto by mi go zazdrościł? Wiadomo, za kółkiem

każdy więcej zarobi niż ja teraz za biurkiem.

— Nie rozumiem — major udawał naiwnego. — Chyba jasne, że skoro was awansowano, tym samym pominięto innych, którzy na to liczyli. Zawsze co kierownik, to nie zwykły kierowca.

— A bo to prawda... — Zenon H. tylko ręką machnął. — Rzeczywiście pensji o parę groszy więcej. Ale jak się jeździ wozem, zawsze coś człowiekowi wpadnie: a to leci się pustym kursem i wtedy można złapać „lewy ładunek“, a to-łebki się weźmie. Pan major przecież dobrze wie... A kierownik co ma z tego?

— Może jacyś koledzy byli na was źli? Wiadomo, kierownik musi kontrolować 3 stan wozu, i zużycie benzyny, i kilometry na liczniku.

— Nie. Chyba nikt do mnie nie ma złości. Ludzie wiedzą, że kierownik jest po to, aby na nich uważał. Mają swoje sposoby. Nawet najsprytniejszy ich nie złapie.

— Czasem jednak nam się coś udaje — oficer milicji poczuł się dotknięty w swojej zawodowej dumie. — Dowodem tego niejedna sprawa sądowa.

— Milicja co innego — zgodził się przesłuchiwany.

— Więc pan powiada, że nikt mu nie chciał świni podłożyć?

— Nie. Odkąd zostałem kierownikiem, to nie.

— A przedtem? Z pana wszystko trzeba wyduszać.

— Był taki jeden... Ale już prawie rok, jak nie pracuje. Obszczekał mnie, że ukradłem cały wóz desek.

— Co pan mówi? — major udał, że go to niesłychanie oburzyło.

— Woziliśmy wtedy deski ze stacji kolejowej do radiostacji. Przez parę dni po kilka kursów. Jeździłem ja, jeździli i inni kierowcy. A potem przyszedł

donos do dyrekcji, że jeden kurs zrobiłem na lewo; nie do radiostacji, tylko do prywatnego stolarza. Przeprowadzono dochodzenie i okazało się, że wszystko w porządku. Ale na miesiąc zdjęto mnie z wozu i premii nie dostałem. Potem, kiedy szukali nowego kierownika transportu, przypomnieli sobie o niesłusznym posądzeniu i dlatego mnie mianowali. Niby...

rekompensata.

— A kim był ten, który was oskarżył?

— Kierowca jak i ja. Też woził wtedy deski. Ale on, jak już powiedziałem, nie pracuje u nas.

— Dlaczego? Wylali go po tym niesłusznym donosie?

— Nie. Wtedy nie. Ale to w ogóle był straszny rozrabiaka. Na wszystkich, nawet na dyrekcję pisał donosy. Wreszcie kierowcy zbuntowali się i zagrozili, że jeżeli ten Baczyński nie przestanie pracować, oni wszyscy odejdą. A wiadomo, że o dobrego szofera niełatwo, więc gościa zwolnili.

— Co on teraz robi? Nie wiecie?

— Jak odszedł od nas, później jeździł w Wytwórni Filmów Fabularnych.

Ale zdaje się, że i tamtą pracę rzucił albo jego wyrzucili. To był dziwny człowiek. Przecież nawet

mnie obsmarował, chociaż niby byliśmy zaprzyjaźnieni. Mało to razy przychodził do mnie do domu. dzieciakom różne prezenty przynosił? W ubiegłym roku pomagał też w ogródku kopać, bo swojego nie ma. A potem nagle wyskoczył z donosem..

— Proszę, niech pan weźmie kartkę papieru i wypisze na niej nazwiska ludzi, z którymi pan się styka w swojej pracy, a także i tych, z którymi pan lub żona utrzymujecie stosunki towarzyskie. U których w domu bywacie i którzy was odwiedzają. Proszę również wypisać nazwiska sąsiadów, jeśli pan ich zna.

Zenon H. podrapał się za uchem.

— To będzie duża lista, panie majorze.

— Nie szkodzi. Jeśli nie zmieszczą się na tej kartce, nie ma zmartwienia.

Papieru mi nie brakuje.

Niezbyt uszczęśliwiony Zenon H. prawie godzinę pracowicie wypisywał

nazwiska. Zużył na to aż trzy duże arkusze podaniowego papieru. Kiedy wreszcie skończył, major zadał mu następne pytanie.

— A jakich wrogów miał wasz pies?

— Że co proszę?... — zdumiał się przesłuchiwany.

— No, przecież sami mówiliście, że wasz wilczur nikogo nigdy nie ugryzł, ale na niektórych ludzi szczekał. A może kiedyś pogryzł się z psem któregoś sąsiada i ten przez zemstę go zastrzelił?

— Psy, jak psy. Zawsze się o sukę pogryzą. Ale mój nie był zacięty.

Poskakał, powarczał, czasem usiłował złapać zębami i na tym się kończyło.

Nigdy większej krzywdy ani nie zrobił, ani sam nie doznał. Największym jego wrogiem był bokser od doktora. Tego, co mieszka trzy domy dalej. Ale przecież dla takiego głupstwa doktor nie zabiłby mojego wilczura! Zresztą on nie ma rewolweru.

— Skąd pan wie?

— Mieszkamy obok siebie już prawie piętnaście lat. Teraz tam spokojnie, ale dawniej różnie bywało. Doktor wtedy często powtarzał, że powinniśmy zwrócić się do władz o pozwolenie na posiadanie broni. Gdyby ją miał, nie mówiłby tak.

Major Krzyżewski zapisał sobie nazwisko lekarza, jak również i tych osób, do których psisko pana Zenona nie pałało specjalnym sentymentem.

— A ten kolega z pracy, o którym mówiliśmy, lubił waszego wilczura? — zapytał.

— Tak. Zawsze przynosił mu kawał kiełbasy albo jaką kość. Pies kiełbasę zjadał, ale szczekać nie przestawał. Nieraz się śmialiśmy, że moja sobaka nieprzekupna. Zresztą Władek nie bał się wilczura i nie uciekał przed nim jak inni, na których pies szczekał. Opowiadał, że przed wojną jego rodzice mieli we Lwowie takiego samego owczarka alzackiego.

Major zorientował się, że z Zenona H. już nic ciekawego nie wyciągnie.

Dał więc przesłuchiwanemu protokół do podpisania i podziękował za udzielone informacje. Obiecał też, że milicja zrobi wszystko dla odnalezienia i ukarania zabójcy psa.

Oficer milicji wspominał o tym nie bez kozery. Oto specjaliści .

rusznikarze dokładnie zbadali kule wyjęte z ciała zwierzęcia. Z archiwum KW MO wzięto i inne pociski. Te, które przed paru laty zabiły jubilera, a później przedsiębiorcę budowlanego. Pociski były tego samego kalibru : 0,35. Metalowe pancerze kul miały charakterystyczne nacięcia — ślady po gwincie na lufie pistoletu. Na wszystkich pociskach karby były identyczne, co foto

grafia w dużym powiększeniu wykazała bez najmniejszej wątpliwości.

A io znaczyło, że z tego samego pistoletu zabito już dwóch ludzi i psa.

Major Krzyżewski nie wątpił, że pistolet trzymała jedna i ta sama ręka.

Po wyjściu przesłuchiwanego Zenona H. oficer milicji wydobył ze stalowej szafy, stojącej w rogu pokoju, gruby stos teczek z aktami. Łączył je jeden kryptonim wypisany na tekturowej okładce: „Diabeł przychodzi nocą“.

Do akt major dodał teraz nową teczkę założoną przed chwilą, po czym zabrał

się, nie wiadomo już który raz, do dokładnego studiowania całej sprawy, poczynając od meldunku o pierwszym morderstwie.

Zagadka zaczynała się układać w nową, logiczną całość, choć — o czym oficer milicji doskonale wiedział — do rozwiązania było jeszcze bardzo daleko. Miał jednak maleńką nadzieję, że może tym razem złapany trop okaże się prawdziwy.

Rozdział III PIERWSZA OFIARA „DIABŁA”

Pewnej listopadowej nocy 1955 roku ktoś zaalarmował milicję, że w bramie jednego z domów leży zabity mężczyzna. Jak zwykle w takich razach, na miejsce pojechał najpierw radiowóz, żeby sprawdzić, czy przypadkiem jacyś dowcipnisie nie urządzili tego rodzaju „żartu towarzyskiego“. Ale fakty się potwierdziły. Rzeczywiście w bramie spalonego, rozebranego do parteru domu znaleziono ciało człowieka. Siady krwi świadczyły, że dokonano tu morderstwa.

Radiowóz zawiadomił komendę milicji. Przybyła ekipa śledcza i rozpoczęła dochodzenie. Wszczęto normalne czynności: fotografowanie zwłok, poszukiwanie odcisków palców, ustalanie sposobu dokonania zabójstwa i zbieranie wszelkich innych śladów.

Identyfikacja ofiary nie przedstawiała

trudności. Przy zabitym znaleziono dokumenty świadczące, że jest to jubiler wrocławski, Henryk N., zamieszkały zresztą przy tej samej ulicy. W tejże dzielnicy prowadził zakład jubilerski. Henryka N. — pozbawiono życia strzałem z pistoletu oddanym z bezpośredniej odległości. Świadczyły o tym ślady prochu na płaszczu ofiary. W pobliżu znaleziono łuską rewolwerową.

Mały kaliber 6.35, tak zwana popularnie „piątka“.

Koło zabitego leżała kartka papieru. Oddarto ją z jakiegoś większego arkusza. Ołówkiem nabazgrano na niej drukowanymi literami kilka słów: ZŁAKOMIŁES SIĘ NA DOLARY PRZYPLACIŁEŚ ŻYCIEM.

Czyżby morderstwo było krwawym porachunkiem między czarnogiędziarzami?

Jeszcze jedna charakterystyczna okoliczność, ustalona na miejscu zbrodni: oto zabity miał przy sobie dokumenty — nikt więc nie próbował

utrudnić jego przyszłej identyfikacji. Natomiast w kieszeniach zamordowanego znaleziono jedynie drobny bilon. Dziwne, że nie było portfela z pieniędzmi. Rękę ogołoco z zegarka.

Czyżby Henryk N., jubiler cieszący się opinią zamożnego człowieka, nie posiadał portfela?

Po przybyciu na miejsce zbrodni i dokonaniu oględzin, prokurator wydał

decyzję zabrania zwłok i przewiezienia ich do prosektorium celem przeprowadzenia sekcji.

Nazajutrz rozpoczęło się szczegółowe śledztwo. Zarówno rodzina zabitego, jak i jego pracownik zeznali, że Henryk N. wracając do domu powinien mieć przy sobie przynajmniej kilka tysięcy złotych — całodzienny utarg swojego zakładu. Jubiler nosił też zegarek 2nanej marki. Zegarek ten, według słów pomocnika jubilerskiego, jego pryncypał kupił stosunkowo niedawno. Ponieważ zegarek miał masywną złotą oprawę i równie imponującą bransoletkę z tego samego kruszcu, jubiler zużył złoto na wyrób innej biżuterii, zaś werk oddał jakiemuś zegarmistrzowi, aby ten dorobił

oprawkę. Zamykając sklep w dniu swojej śmierci, Henryk N. miał jeszcze ten zegarek na ręku. Pomocnik przy

pominał to sobie dokładnie: szef sprawdzał godzinę zamknięcia interesu.

Nie ulegało zatem najmniejszej wątpliwości, że zbrodniarz po zastrzeleniu ofiary zrewidował ją i obrabował.

Oficer dochodzeniowy wziął pod uwagę i kartkę znaną przy zwłokach. Przeprowadzono dokładny wywiad, jakie to interesy załatwiał w swoim sklepie Henryk N. Przesłuchano kilkunastu znanych milicji wrocławskich czarnogiędzarzy. Zbierano też konfidencjonalne wiadomości z tych sfer. W świetle tych dochodzeń sylwetka jubilera rysowała się zupełnie wyraźnie.

Był to typowy przedstawiciel „inicjatywy prywatnej“ tamtych czasów.

Oficjalnie zajmował się naprawą i przeróbką biżuterii. Miał też prawo wykonywania różnych świecidełek ze srebra. Ale jak zresztą prawdę wszyscy tego rodzaju rzemieślnicy, tak i Henryk N. nie zadowalał się tak małym zakresem działalności handlowej. Stwierdzono, że chętnie kupował złom złoty, jak również i gotową biżuterię ze złota. Złom przerabiał, produkując głównie bransoletki, tak

zwane „pancerki“, które znajdowały łatwy zbyty jako

„lokata kapitału“. Parokrotnie przyłapany na tych transakcjach, przekraczających jego uprawnienia zawodowe, jubiler bez szemrania płacił

dość wysokie grzywny i... nadal prowadził swoją działalność. Najwidoczniej kalkulowały mu się tego rodzaju koszty handlowe.

Nie udało się natomiast udowodnić, że Henryk N. miał jakieś kontakty z czarną giełdą. Nikt nie stwierdził, że jubiler kupował lub sprzedawał

komukolwiek dolary albo inne dewizy. Pracował tylko w złocie i w srebrze.

Milicja przejrzała i wynotowała wszystkie nazwiska z książki napraw, jaką jubiler obowiązany był prowadzić. Ustalono także listę osób, które utrzymywały z Henrykiem N. stosunki towarzyskie lub urzędowe.

Przesłuchano kilkuset ludzi. Teczka akt urosła do ogromnych rozmiarów, a rezultaty były równe zeru.

Po sześciu miesiącach prokurator wydał decyzję umorzenia sprawy.

Łuska rewolwerowa, kula wyjęta z ciała zabitego i kartka, znaleziona przy zwłokach, powędrowały do archiwum. W walce z nieuchwytnym zbrodniarzem milicja wrocławska zapisała na swoim koncie pierwszą porażkę.

Od tego czasu gdziekolwiek w całym kraju wykryto jakieś zabójstwo dokonane za pomocą pistoletu, zawsze sprawdzano, czy kule te-j broni nic są. identyczne z pociskiem, który pozbawił życia jubilera. Także, mimo oficjalnego umorzenia sprawy, jeden z oficerów dochodzeniowych miał

obowiązek stałego sprawdzania akt i podejmowania nowych kroków, mogących ewentualnie doprowadzić do wykrycia mordercy Henryka N.

Wszystkie te usiłowania nie dały jednak wyników. Nikt nie słyszał w nocy huku wystrzału, którym zabójca odebrał życie swojej ofierze. Nikt nie widział

wracającego jubilera ani przestępcy czającego się w bramie spalonego domu.

Nie znaleziono żadnego świadka zetknięcia się Henryka N. z bandytą.

Nie zdołano nawet stwierdzić, czy zabójca znał jubilera. Ostatecznie zbrodniarz mógł po prostu w jakiś sposób dowiedzieć się albo ustalić na podstawie własnych obserwacji, że zakład jubilerski Henryka N. przynosi dobre dochody swojemu właścicielowi. Odnalezienie miejsca zamieszkania jubilera również nie przedstawiało większych trudności. Zapoznać się ze zwyczajami złotnika i stwierdzić, że wraca on dość często do domu dopiero w późnych godzinach nocnych, to było już dziecinnie łatwe zadanie. Miejsce na napad wybrane zostało bardzo starannie: pusta brama spalonego domu, umożliwiająca zbrodniarzowi ucieczkę na inną ulicę przez wyburzone posesje. Ciemna, listopadowa noc dawała zabójcy jeszcze jedną szansę bezkarnego zniknięcia z miejsca przestępstwa.

Przy tak małej liczbie danych i wobec braku jakichkolwiek innych śladów, milicja stawiała się bezradna. Nadzieja, że zbrodniarz „wsypie się“ sam, bo zdemaskuje go nagła zmiana trybu życia po uzyskaniu większej kwoty pieniędzy, zrabowanych z portfela zabitego, również się nie potwierdziła,

pomimo że milicja

zorganizowała specjalny wywiad wśród bywalców znanych sobie knajp i melin.

Zastanawiano się także nad kartką znaną przy zwłokach.

Z jej treści wysnuto kilka wniosków. Po pierwsze, że zabójca nie należy do ludzi specjalnie wykształconych, nie zalicza się do inteligencji. Na to wskazywał kształt drukowanych liter, brak przecinka po słowie „dolary“, a także zwrot: „złakomiłeś się“; ma on charakter raczej gwarowy, a używany jest głównie przez hidność Wrocławia przybyłą tutaj z dawnych „kresów wschodnich“ przedwojennej Polski.

Po drugie milicja wywnioskowała, że zabójca polował na swoją ofiarę dość długo. Może nawet kilka nocy? Z góry też postanowił zabić jubilera.

Kartka na pewno nie była pisana po ciemku, na miejscu zbrodni, po dokonaniu zabójstwa, lecz przygotowana już uprzednio. O tym, że dłuższy czas noszono ją w kieszeni, świadczył zresztą jej wygląd. Papier był pomięty i nieco przybrudzony.

Wreszcie sam tekst. Przeznaczono go przecież nie dla ofiary, tylko dla milicji, która znajdzie zabitego. Tekst miał wyraźnie wprowadzić w błąd ludzi prowadzących dochodzenie, zasugerować, że jubiler miał na swoim sumieniu handlowym obrót dewizami. Ale Henryk N.. prowadzący różne interesy, może nawet graniczące z odpowiedzialnością karna, nie handlował

dolarami.

Oficer dochodzeniowy, któremu powierzono tę sprawę, przeklinał w żywy kamień dzień i godzinę, kiedy otrzymał rozkaz zajęcia się zabójstwem Henryka N. Chłop naharował się co niemiara, a spotykały go jedynie przykrości: od bezpośredniego zwierzchnika, od prokuratury, a także z

„góry“, z Warszawy. Zarzucano mu małą operatywność.

Pęczniące akta przekazano w końcu innemu pracownikowi Komendy Wojewódzkiej. a gdy ten również nie mógł ruszyć sprawy z miejsca, zajął się nią z kolei trzeci oficer.

Tak upłynął rok i znowu opinia publiczna miasta Wrocławia wstrząśnięta została tajemniczym morderstwem.

Rozdział IV ZNOWU GINIE CZŁOWIEK

Przy jednej z ulic na Krzykach stała piękna willa z garażem. Mieszkał w niej przedsiębiorca budowlany, Stanisław S., z rodziną. Pan S. był rzutkim człowiekiem interesu. Prowadząc wiele robót, specjalizował się przede wszystkim w odbudowie spalonych obiektów, zwłaszcza zaś willi i domków jednorodzinnych. W czasie przeszło trzymiesięcznego oblężenia Wrocławia przez Armię Radziecką hitlerowcy spalili dzielnicę willowe, wieńcem otaczające to miasto ze wszystkich stron. Najwięcej ucierpiały Krzyki i Grabiszynek.

Właśnie w spalonej dzielnicy Krzyki inżynier S. odbudował gustownie, można nawet powiedzieć, że luksusowo, jeden ze zniszczonych domków.

Zrobił to nie tylko dla własnej wygody, ale także i dla reklamy. Każdego klienta, reflektującego na odbudowę podobnej willi, przedsiębiorca budowlany zapraszał do siebie, aby przekonać go, że jego firma umie zarówno wygodnie rozplanować pomieszczenia, jak i solidnie je wykończyć.

Reklama działała. W tamtych czasach jeszcze wiele było we Wrocławiu spalonych domków i willi. Toteż interesy Stanisława S. przedstawiały, się lepiej niż pomyślnie. W garażu stał samochód zagranicznej marki, zaś przedsiębiorca uchodził za jednego z zamożniejszych ludzi w całej dzielnicy.

Inżynier prowadził roboty również poza Wrocławiem, w sąsiadujących z nim miejscowościach, między innymi w Kątach Wrocławskich. Prace te wykonywano często w godzinach popołudniowych. Ludzie zatrudnieni rano w wielkich przedsiębiorstwach państwowych, po południu dorabiali sobie zleceniami u prywaciarza. W takiej sytuacji przedsiębiorca budowlany wracał samochodem do domu nieraz późnym wieczorem lub nawet nocą.

W dniu 9 stycznia 195? roku inżynier Stanisław S. jechał do Wrocławia z Kątów Wrocławskich. Roboty przy odbudowie pewnej willi były na ukończeniu. Uzgodniono z właścicielem, niektóre poprawki i obiekt miał być za parę dni oddany do użytku. Dobiegały też końca rozliczenia finansowe ze zleceniodawcą. Jak to później ustalono, w tym dniu przedsiębiorca budowlany zainkasował sporą sumę, ponad dwadzieścia tysięcy złotych.

Właściciel wykańczanego domu, zeznając w śledztwie, przypomniał sobie doskonale, że inżynier S. schował te pieniądze do teczki, którą miał przy sobie.

Zona przedsiębiorcy czekała na męża z kolacją. Około jedenastej w nocy usłyszała warkot nadjeżdżającego samochodu. Niedługo potem dobiegł ją odgłos dwóch cichych detonacji. Nie zwróciła na nie specjalnej uwagi. Nie dziwiła się też, że mąż nic nadchodzi. Wiedziała, że musi wprowadzić samochód do garażu, zamknąć bramę wjazdową i zabezpieczyć garaż. To wszystko, jak sprawdziła w praktyce, zabierano mężowi zazwyczaj dziesięć do piętnastu minut,

Ale kiedy po przeszło dwudziestu minutach pan Stanisław nie zjawił się w mieszkaniu, inżynierowa zaczęła się niepokoić. Wyrzwała przez okno i zauważyła samochód stojący na podjeździe do garażu. Tknięta złym przecuciem, narzuciła palto i wybiegła na dwór. W samochodzie nie było nikogo. Natomiast przy wrotach na w pół otwartego garażu leżał Stanisław S.

Już nie żył.

Przerażona kobieta zdołała na tyle się opanować, że wróciła do domu i zaalarmowała milicję.

Dochodzenie ustaliło, że przebieg wypadków był następujący: Inżynier podjechał pod dom, otworzył bramę i wprowadził samochód na krótką uliczkę wewnętrzną, prowadzącą do garażu. Siedem metrów przed garażem Stanisław S. zatrzymał auto, wysiadł i zaczął otwierać wrota wjazdowe. W

tym momencie zapewne zaatakowany został przez bandytę, który prawdopodobnie czekał na swoją ofiarę za ścianą garażu. Świadczyłby o tym fakt, że otwarta została tylko połowa skrzydłowej bramy garażu. Znalezione również sporo rozdeptanych śladów na śniegu.

Milicja przypuszczała, że napastnik zamierzał zaskoczyć przedsiębiorcę budowlanego i zabić go lub ogłuszyć uderzając czymś ciężkim w głowę.

Jednakże inżynier nie dał się zaskoczyć. Ślady na rękach denata świadczyły, że stoczono tu zaciętą walkę. Być może Stanisław S. zdołał nawet wyrwać napastnikowi przygotowane przez niego narzędzie mordu. Wtedy bandyta wyciągnął pistolet i dwoma strzałami pozbawił swoją ofiarę życia.

O bestialstwie mordercy najwyraźniej świadczy to, że użył kul ze spiłowanym czubkiem, tak

zwanych „dum-dum“. Taki pocisk rozrywa się przy trafieniu w cel. Zadaje ogromne, prawie zawsze śmiertelne rany.

Lekarz dokonujący sekcji zwłok stwierdził, że gdyby bandyta używał

normalnych pocisków, Stanisław S. miałby szanse przeżycia, gdyż obie rany nie uszkodziły ważnych dla funkcjonowania organizmu narządów wewnętrznych. Przy użyciu pocisków „dum-dum“ śmierć nastąpiła wskutek gwałtownego krwotoku wewnętrznego, wywołanego rozerwaniem się kul.

Pancerze pocisków zostały tak bardzo uszkodzone, że specjalista rusznikarz nie był w stanie odtworzyć nacięć wywołanych gwintami lufy, ale dwie znalezione łuski pozwoliły stwierdzić, że jest to kaliber 6,35. Siady od iglicy i od wyrzutni-ka łusek wskazywały ponad wszelką wątpliwość, że inżynier Stanisław S. zginął od kul wystrzelonych z tego samego pistoletu, z którego przed przeszło rokiem zabito jubilera wrocławskiego, Henryka N.

Tajemniczy morderca znów dał znać o sobie.

Śledztwo stwierdziło też, że bez śladu zginęła teczka. Inżynier na pewno miał ją w samochodzie. W teczce znajdowały się nie tylko plany i papiery dotyczące budowy, ale — jak już wiemy — również poważna kwota pieniędzy.

Milicję zastanawiał fakt, że silnik sa

mochodu inżyniera został wyłączony. A kierowca, który wysiada z wozu tylko po to, aby otworzyć bramę garażu, zazwyczaj nie gasi silnika, gdyż zaraz wraca za kierownicę, by wjechać do wnętrza garażu. Mało też prawdopodobne, żeby przedsiębiorca budowlany, wysiadając z auta jedynie dla otwarcia bramy, zabierał z samochodu swoją teczkę.

A więc przypuszczalnie zabójca wiedział, że inżynier S. nosi w teczce pieniądze firmowe. Po zabiciu swojej ofiary nie szukał portfela, lecz sięgnął

do samochodu i wyjął z niego teczkę z gotówką. Wtedy też wyłączył motor.

Zrobił to w obawie, że pozostawiony „na chodzie“ samochód może zbyt szybko zaalarmować domowników. Przedwczesny alarm skomplikowałby bandycie ucieczkę.

Milicja dokonała jeszcze jednego odkrycia. Znalaziono wdeptane w śnieg małe, płaskie, miedziane kóleczo. Boż trudu rozpoznano w nim wieczko od jakiegoś zegarka. Ponieważ zegarek, który miał na ręku zabity inżynier, nie nosił żadnych śladów uszkodzeń, należało przypuszczać, iż jest to wieczko od zegarka mordercy. Prawdopodobnie Stanisław S., prowadząc śmiertelną walkę, zerwał z ręki lub tylko uszkodził zegarek napastnika. Ten albo nie zauważył tego incydentu, albo w ciemności nie zdołał odszukać wieczka, wdeptanego w śnieg nogami zmagających się ze sobą ludzi.

Znowu rozpoczęły się żmudne dochodzenia. Przesłuchiwano pracowników inżyniera, jego znajomych. Wszystkich, którzy wiedzieli, że przedsiębiorca budowlany miał w dniu swojej śmierci zainkasować pieniądze. Wypytywano sąsiadów i znajomych całej rodziny. Sprawdzone alibi kilkudziesięciu osób.

Wszystko na próżno.

Pamiętając, że morderca ma uszkodzony zegarek, rozesłano do wszystkich zegarmistrzów nie tylko w mieście, ale nawet w województwie zawiadomienie, że gdyby jakiś klient przyniósł zegarek bez wieczka, należy podjąć się wykonania naprawy, ale jednocześnie zawiadomić natychmiast milicję.

Bandyta okazał się ostrożny. Nikt nie

przyniósł do żadnego z zegarmistrzów zegarka bez wieczka.

Także wywiad w różnych restauracjach i knajpach wrocławskich nie dał

wyników. Jak drobiazgowo było dochodzenie, najlepiej ilustruje fakt, że sprawdzano, kto w ostatnim czasie kupił motocykl lub telewizor, płacąc za nie gotówką. Zbrodniarz zrabował przecież ponad dwadzieścia tysięcy złotych. Może więc uda się złapać go przy wydawaniu tych pieniędzy? Nagłe podniesienie stopy życiowej często jest poszlaką pozwalającą ująć przestępcę.

Człowiek ten okazał się jednak niesłychanie sprytny. Ślady, jakie pozostawił na miejscu obu swoich zbrodni, były bardzo nieznaczące, nie dawały śledztwu żadnego zaczepienia. Akta sprawy, opatrzonej już teraz kryptonimem „Diabeł przychodzi nocą“, urosły do monstrualnych rozmiarów, niemniej śledztwo utknęło na martwym punkcie.

Prokuratorowi nie pozostawało nic innego, jak wydać decyzję o umorzeniu sprawy. Do archiwum milicyjnego powędrowała nowa koperta, zawierająca w swoim wnętrzu mały krążek miedzi i dwie łuski rewolwerowe kalibru 6,35. A władze śledcze Wrocławia przeżywały gorycz drugiej porażki.

Rozdział V ZBRODNIA PRAWIE DOSKONAŁA Upłynęło zaledwie parę miesięcy i znów milicja wrocławska zaalarmowana została następną, potworną zbrodnią. Zbrodnią, która nie pasowała do żadnych schematów. Przystępstwem, które nie mieściło się w dotychczasowej praktyce władz porządku publicznego, które wywołało tak burzliwą dyskusję biegłych, że początkowo można je było uważać za zbrodnię doskonałą.

W willi przy ulicy Kosynierów, na pierwszym piętrze, mieszkał wraz z żoną pracownik Wrocławskiej Wytwórni Filmów Fabularnych, inżynier Władysław W. Inżynier W. był kierownikiem transportu tejże wytwórni.

Znano go jako człowieka wesołego, pracowitego, spokojnego, łubianego zarówno przez pracowników, jak i przełożonych. Nie miał nie tylko wrogów, ale nawet ludzi sobie niechętnych. Władysław W. nie był człowiekiem zamożnym. Młode małżeństwo znajdowało się, jak się to mówi, na dorobku.

W dniu 18 kwietnia 1957 roku Władysław W. siedział wieczorem razem z żoną w stołowym pokoju. Żona coś szyła, mąż czytał gazetę. Taka mała sjesta po kolacji. W tym dniu panował we Wrocławiu chłód, co często zdarza się W

kwietniu. Okno w pokoju było zamknięte.

W pewnym momencie szyby lekko zadzwoniły, jak gdyby ktoś rzucił w nie kilka ziarenek grochu lub parę małych kamyczków czy garść piasku.

Trzeba tu wyjaśnić, że willa stała w pewnej odległości od ulicy. A ulica Kosynierów jest stosunkowo szeroka. Wieczorem panuje na niej minimalny ruch.

Zdziwiony niezwykle odgłosem inżynier W. wstał od stołu i podszedł do okna. Stał w nim, oświetlony od tyłu palącą się lampą. Usiłował dojrzeć coś w mroku panującym na dworze.

W tej chwili pani W. usłyszała trzask pękających szyb, zlewający się z cichą detonacją strzału. Inżynier zrobił ruch, jak gdyby chciał złapać się futryny okna, i miękko osunął się na podłogę. Gdy żona podbiegła do niego, już nie żył. Tylko szybko rosnąca czerwona plama z lewej strony gorsu

koszuli wskazywała, co było przyczyną nagłego zgonu tego człowieka.

Natychmiast zaalarmowana milicja nie znalazła żadnych śladów, nawet łuski rewolwerowej. Jeden z sąsiadów państwa W., aktor miejscowego teatru, zeznał, że mniej więcej w tym czasie (nikt wtedy nie patrzył na zegarek, kiedy padł śmiertelny strzał) zauważył jakiegoś mężczyznę, biegnącego ulicą Kosynierów. Aktor wprawdzie dość niedokładnie opisał

sylwetkę tego człowieka, ale kategorycznie twierdził, że na pewno by go poznał, gdyby go kiedyś spotkał.

Z ciała inżyniera W. wyjęto kulę. Był to także kaliber 6,35, ale ślady gwintów na pocisku okazały się zupełnie inne od śladów na kulach, które pozbawiły życia Henryka N.. a później Stanisława S.

Wyniki analizy rusznikarskiej spowodowały, że sprawy zabójstwa inżyniera W. nie łączono z poprzednimi dwoma tajemniczymi morderstwami.

Dla milicji największą zagadką pozostawało wyświetlenie sposobu popełnienia tego mordu. Biegli od spraw balistyki biorąc pod uwagę miejsce, w którym zbita została szyba, i lor pocisku tkwiącego w ciele zabitego, wyliczyli, że w chwili oddawania strzału morderca znajdował się na przeciwległym trotuarze ulicy; to znaczy w odległości około trzydziestu metrów. Ale jak wiadomo, kaliber 6,35 to pistolet mały, dosłownie kieszonkowy. W grę wchodzić mogły belgijski FN czy też amerykański

„Browning“, pistolety, które bez trudu udaje się schować w zaciśniętej pięści.

Tego rodzaju „kobieca“ broń z natury rzeczy nie jest zbyt celna. Poza tym pocisk nie ma wielkiej siły. Może zabić człowieka jedynie z niewielkiej odległości.

O tym, żeby z takiego pistoletu nieomylnie trafić człowieka w samo serce i to na dystans trzydziestu metrów, nie mogło być mowy.

Poza tym kula, zanim znalazła drogę do serca Władysława W., musiała przecież przebić szyby w podwójnych oknach i przejść przez ubranie.

Rusznikarze uważali to również za zjawisko nie tylko graniczące z cudem, ale wprost nieprawdopodobne. Jeden z biegłych, prowadząc spór z pewnym oficerem milicji, po prostu zaproponował :

— Ja stanę w tym oknie, a pan kapitan do mnie strzeli, będąc po drugiej stronie ulicy. I nie tylko jednym pociskiem. Choćby pan strzelał cały rok bez przerwy, mogę tu tkwić bezpiecznie, żadna kula nie trafi.

Jednak fakt pozostawał faktem: inżyniera Władysława W. zabito jednym strzałem, zaś pocisk trafił w samo serce.

Przeprowadzono nawet próby na strzel

nicy. Użyto do tego najrozmaitszych rodzajów pistoletów kalibru 6,35.

Najlepsi strzelcy, jakich znaleziono we Wrocławiu, dumni byli z siebie, jeżeli na serię dwudziestu strzałów udało im się choć raz trafić w sylwetkę pozorującą ludzką postać. Żaden z nich nie zdołał umieścić pocisku akurat w tym miejscu, gdzie zaznaczono serce człowieka.

— A jednak — powtarzał ciągle kapitan prowadzący dochodzenie —

inżynier W. został w taki właśnie sposób zastrzelony.

Równie zagadkowo rysowały się motywy popełnienia zbrodni. Nie było to zabójstwo rabunkowe. Pozostawał motyw zemsty lub jakichś porachunków osobistych.

Ale jakich?

Nie doszukano się nikogo, z kim popularny kierownik transportu mógłby mieć jakiś poważniejszy zatarg. Zbadano całą przeszłość zabitego. Może tam kryje się rozwiązanie zagadki? Niczego nie znaleziono. Ogromna machina milicyjną pracowała dosłownie w próżni. Cóż z tego, że zastosowano wszelkie normalnie w takich razach używane sposoby dochodzenia? Nie natrafiono na najmniejszy ślad.

Sprawa zabójstwa inżyniera W. szybko stała się otwartą raną na ambicji i reputacji milicji wrocławskiej. Najzdolniejsi oficerowie zabierali się do tego śledztwa, budowali swoje hipotezy, które w zetknięciu z rzeczywistością przewracały się jak przysłowiowe domki z kart. Szukano gorączkowo śladów zabójcy, lecz żadnych nie znaleziono. Wreszcie dochodzenie zostało zawieszono. W odpowiedniej rubryce napisano „sprawca nieznany“.

W ten sposób ta sprawa, jak i inne nie wyjaśnione zbrodnie, trafiła do szafy w pokoju majora Wacława Krzyżewskiego. Właśnie jemu przypadł

niezbyt miły obowiązek zajmowania się takimi nie wykrytymi i już umorzonymi przez prokuraturę dochodzeniami. Tajemnicze zabójstwo psa, będącego własnością Zenona II., spowodowało, że akta znowu wydobyto z szafy i położono na biurku oficera milicji.

Kiedy je czytał raz jeszcze, zdawało mu się, że dostrzega nikłe światełko przewod-nic. Zaczął mieć nadzieję, że teil słaby płomyk doprowadzi go wreszcie do celu. Jednocześnie nic potrafił pozbyć się pewnej nutki zwątpienia w sukces.

Doświadczony oficer pamiętał, że na początku wertowania tych akt wielu jego kolegów było także optymistami, a potem musieli przyznać się do porażki.

Czyżby podobny los miał spotkać także i jego?

Rozdział VI CZYTAJĄC AKTA...

Treść leżących przed nim teczek major Wacław Krzyżewski znał prawie na pamięć. Studiował je wielokrotnie. Toteż i teraz nie spodziewał się znaleźć w tych papierach czegoś nowego. Po prostu chciał sprawdzić, czy długa lista nazwisk wypisana przez kierownika transportu Polskiego Radia, który stracił

ulubionego psa, nie znajduje jakiegoś odpowiednika w takich samych spisach, sporządzanych przez rodziny zabitych. Może to rzuci nowe światło na stare sprawy?

Major najpierw odsunął od siebie akta dotyczące zabójstwa inżyniera Władysława W. Dwie pozostałe zbrodnie łączyły się w logiczną całość; były niewątpliwie dziełem tej- samej ręki i miały charakter rabunkowy.

Natomiast morderstwo przy ulicy Kosynierów wylamywało się z tej logiki faktów.

Oficer milicji porównał wszystkie nazwiska. Było ich w aktach chyba z kilkaset. Jak wiadomo, nie dysponując żadnymi innymi śladami, milicja przesłuchiwała i sprawdzała alibi możliwie dużego

kręgu ludzi i w ten sposób usiłowała wpaść na ślad zbrodniarza. Jednakże żadne nazwisko nie powtórzyło się. Ofiary mordu miały zupełnie inne kręgi interesów i znajomości. Zapewne nie zetknęły się nigdy osobiście. Dosłownie nic nie łączyło właścicielką warsztatu jubilerskiego z rzutkim przedsiębiorcą budowlanym, mieszkającym zresztą w całkiem innej dzielnicy wielkiego miasta.

Czy rzeczywiście nic tych ludzi nie łączyło? A taka sama śmierć i wspólna dla obu osoba zbrodniarza?

Zabicie psa wydawało się bez sensu. Majorowi nie mogło pomieścić się w głowie, że ktoś mógł aż tak nienawidzić jakiegoś zwierzęcia, żeby w nocy czaić się nań z pistoletem w rękę. A może sprawca chciał w ten sposób boleśnie ugodzić właściciela wilczura? Może zresztą oba te cele przyprzewodziły przestępce do ogródka willi Zenona H.?

To rozumowanie nie przypadło jednak do gustu oficerowi milicji.

Wszystko przecież świadczyło, że morderca dwóch ludzi był człowiekiem bezwzględnym, pozbawionym skrupułów i wyrzutów sumienia. Miał na swojej liście już dwie ofiary. Ale czy tylko dwie? Kto wie, ile razy ten człowiek kierował lufę swojego pistoletu w stronę współbliźnich? Bo tylko milicja wrocławska zna dwa jego morderstwa. Faktycznie mogło ich być znacznie więcej. Jeżeli taki człowiek miałby coś przeciwko Zenonowi H., bez najmniejszego wahania zabiłby nie psa, lecz jego właściciela — kierownika transportu Polskiego Radia. Nie przedstawiało to specjalnych trudności.

Wystarczyło, aby po strzale do psa przestępca nie uciekł, locz pozostał w Ogródku. Zenon H. pochylający się nad ciałem swojego ulubieńca byłby doskonałym celem. Major żywił szczere przekonanie, że mordercy nie zabrakłoby odwagi do popełnienia jeszcze jednej zbrodni.

A swoją drogą — rozumował dalej oficer — ta dziwna, bezsensowna śmierć psa podobnie pozbawiona jest jakichkolwiek motywów, jak i zabójstwo Władysława W. Może więc jednak ta sama ręka strzelała i tu, i na ulicy Kosynierów?

Major znowu przysunął do siebie pękata teczkę, zawierającą materiały dochodzenia w sprawie zabójstwa inżyniera W. i zaczął je ponownie studiować. Znowu porównywał nazwiska przesłuchiwanego świadków. Badał

spis osób sporządzony przez żonę zabitego. Niestety ludzie, którzy w jakiś sposób otarli się o sprawę zabójstwa Władysława W., nie figurowali w żadnych z pozostałych akt.

Ale znalazło się jeszcze coś, co wywoływało skojarzenia między morderstwem przy ulicy Kosynierów a zastrzeleniem owczarka alzackiego.

Człowiek, który zginął na Sępolnie (ulica Kosynierów znajduje się w tej dzielnicy Wrocławia), był kierownikiem transportu Wytwórni Filmów Fabularnych. Zabity pies stanowił własność kierownika transportu w Polskim Radiu. Wprawdzie obie te instytucje nie miały wiele wspólnego ze sobą, ale... Tu oficer milicji przypomniał sobie pewien fragment zeznań Zenona H. Sięgnął po protokół, aby przeczytać to, co dosłownie zanotowano:

... „Ale to w ogóle był straszny rozrabiaka. Na wszystkich, nawet na dyrektora pisał donosy. Wreszcie kierowcy zbuntowali się i zagrozili, że „jeśli ten Baczyński nie przestanie pracować, oni wszyscy odejdą... Jak odszedł od nas., później jeździł w Wytwórni Filmów Fabularnych. Ale zdaje się, że i tamtą pracę rzucił albo jego wyrzucili“...

Tak zeznał Zenon II. o swoim byłym przyjacielu, kierowcy, który jego.

późniejszego kierownika transportu oskarżył o kradzież całego samochodu desek. Oskarżył zresztą zupełnie niesłusznie.

Parę linijek niżej major odnalazł w zeznaniach - Zenona II. uwagę, że jego wilczur dziwnie nie lubił Baczyńskiego. Nie dawał się przekupić nawet przynieszoną kielbasą.

Przecież ten sam Baczyński musiał być przez jakiś czas podwładnym Władysława W., kierownika transportu Wytwórni Pilni ów Fabularnych!

Dziwny zbieg okoliczności... Władysław Baczyński mieszkał w tej samej dzielnicy, gdzie przedtem znajdował się zakład jubilerski Henryka N. i jego prywatne mieszkanie... Mógł znać jubilera. A w każdym bądź razie mógł się orientować, że jest to człowiek bogaty. Zbieg okoliczności? A może właśnie upragniony, nareszcie odnaleziony trop, który pozwoli zdemaskować podwójnego czy też potrójnego mordercę?

Major postanowił kuć żelazo, póki go

rać. Zamknął z powrotem akta w swojej stalowej szafie i pojechał do Wytwórni Filmów Fabularnych, mieszczącej się na dawnych terenach wystawowych, w pobliżu słynnej „iglicy“, stanowiącej jedną z osobliwości turystycznych miasta Wrocławia. Kazał się zameldować kierownikowi działu personalnego. Legitymacja służbowa sprawiła, że przyjęto go poza kolejką.

Jak zwykle do personalnego szturmowała duża grupa urodziwych dziewcząt, różnych chłopców, a nawet starsze panie i dostojnie wyglądający panowie. Ci wszyscy, którym po nocach śni się sława i bogactwo gwiazd filmowych, a którzy przy dużej dozie szczęścia może- kiedyś trafią do jakiegoś filmu jako statyści.

— Baczyński? — powtórzył nazwisko kierownik personalny. — Panu majorowi chodzi zapewne o kierowcę samochodowego, który był u nas zatrudniony przed przeszło rokiem? Pamiętam doskonale. Nawet nic potrzebuję sięgać do akt. To dopiero był numer! Musieliśmy się go pozbyć.

— Dlaczego?

— Ten człowiek to chyba wariat? W każdym razie niezupełnie normalny.

Należałoby go leczyć. Uważał, że wszyscy go krzywdzą i wszyscy go źle traktują. Poza tym ludzie w całym kraju to jedna wielka banda złodziei. Z

jednym sprawiedliwym, właśnie Władysławem Baczyńskim. Na tym punkcie miał zupełnego fioła.

— A on sam? Wydawał się panu uczciwy?

— Za rękę go nie złapałem, niczego nie dowiodłem, ale sądząc z kilometrażu na liczniku jego wozu i z zużycia różnych materiałów pędnych, i części samochodowych na pewno nie był lepszy od najgorszych.

— Dlaczego odszedł?

— Mieliśmy go po dziurki od nosa. I dyrekcji sprzykrzyło się czytanie codziennych donosów, i koledzy kierowcy grozili, że jeśli Baczyński nie przestanie pracować, sami się z nim rozprawią.

— To było jeszcze za życia inżyniera Władysława W.?

— Nie. Inżynier przyjmował Baczyńskiego do pracy, ale zwolniliśmy go w parę miesięcy po śmierci byłego kierownika transportu.

— Czy między nimi nie doszło kiedyś do jakiegoś zajścia?

— Nie. Skądże znowu? Władysław W. był człowiekiem w pełni zasługującym na opinię umiejącego postępować z ludźmi. Nigdy nie miał

żadnych poważniejszych scysji ze swoimi kierowcami. Jeżeli nawet musiał

któregoś zwolnić, nie czuli do niego żalu, bo zawsze był sprawiedliwy.

Wymagał od swoich ludzi, ale i dbał o nich. Zdobył sobie szacunek.

Żałowano go powszechnie.

— A Baczyński nie składał na niego żadnych doniesień?

— Naturalnie, że składał! Na kogo on nie składał? Na dyrekcję również.

Dlaczego więc inżynier W. miałby być wyjątkiem? Ale nawet Baczyński nie mógł nic znaleźć przeciwko swojemu kierownikowi. Kiedy innych oskarżał o różne kradzieże, to Władysława W. tylko ogólnikowo o „uprawianie sabotażu“.

— Bagatela! — roześmiał się major.

Żeby pan zetknął się z tym maniakiem, sam by pan laki donos uznał za komplement pod adresem kierownika transportu.

— Prowadziliście dochodzenie?

— Po co? Znałem już na tyle dobrze Baczyńskiego, że jego donosy od razu wędrowały do kosza. Nawet nic nie mówiłem inżynierowi, że jego podwładny i do niego się dobrał. Początkowo, a było to wtedy, kiedy Baczyński rozpoczynał pracę w naszej wytwórni, pierwsze donosy traktowaliśmy poważnie. Później, kiedy przekonaliśmy się, że to maniak, przestaliśmy się nimi przejmować. Nie tylko zresztą my. Pisał przecież i wyżej. Znają go dobrze w radzie narodowej i w NIK-u. Ciekawe, wie pan, że ten Baczyński jakby nie oczekiwał skutków swoich donosów. Kiedy orientował się, że jakieś oskarżenie nie przynosi rezultatów, kierował swój atak w stronę następnej osoby. Jego zdaniem wszyscy, prócz niego samego, mieli coś na sumieniu. Ile on, panie majorze, i na mnie różnych rzeczy napisał!

— A może to rzeczywiście człowiek chory umysłowo?

— Podejrzywałem go o to i dlatego posłałem na badania lekarskie.

Specjaliści orzekli, że jest zupełnie zdrow. Ale w parę dni później mieliśmy nowy meldunek, że lekarze wystawiają druki L-4, pobierając po seciaku od pacjenta.

Krzyżewski roześmiał się.

— Słowo daję, panie majorze, że nie żartuję. Kierownika przychodni mało szlag ze złości nie trafił, kiedy się o tym dowiedział.

Oficer milicji opuścił gmach Wytwórni Filmów Fabularnych w nastroju, który językiem dyplomatycznym zwykło się określać w komunikatach jako

„umiarkowany optymizm“.

Dochodzenie ustaliło ważną okoliczność: Baczyński nie tylko znał

zastrzelonego przed rokiem inżyniera W., ale pracował pod jego zwierzchnictwem i swoim zwyczajem również kierownikowi zarzucał jakieś przestępstwo.

Major wiedział, że od takiego faktu do popełnienia morderstwa jest jeszcze bardzo daleko, a do udowodnienia tego morderstwa odległość większa niż z Ziemi na Księżyc. Niemniej dwie odrębne sprawy: zamordowanie inżyniera i zastrzelenie psa miały jakieś wspólne cechy.

Przecież i Zenonowi H. Władysław Baczyński — nie patrząc na zażyłość — zarzucił kradzież przewożonych samochodem desek.

A może istnieje jakiś związek pomiędzy osobą dziwnego kierowcy, zajmującego się nałogowo pisaniem donosów, i dwoma innymi zabójstwami?

Krzyżewski postanowił sprawdzić to w biurze Polskiego Radia. Tam w dziale inwestycji przypomniano sobie, że prywatny przedsiębiorca budowlany, Stanisław S.. wykonywał drobne roboty dla Polskiego Radia.

Takie, jakimi wielkie firmy budowlane nie chciały sobie zawracać głowy; Co ciekawsze, przedsiębiorca z Krzyków wykonywał te roboty właśnie wtedy, kiedy Baczyński był zatrudniony jako kierowca w Polskim Radio. Czy Baczyński woził ładunki przeznaczone do tych robót, nie udało się już ustalić. Nie wolno było tego jednak wykluczyć, jak również niepodobna pominąć możliwości, że kierowca poznał wówczas Stanisława S. i zauważył, że „prywaciarz“ prawie zawsze ma w swojej teczce kilka lub nawet kilkanaście tysięcy «złotych».

Czyżby więc nowy, mały krok naprzód?

Nie udało się natomiast Krzyżewskiemu znaleźć jakiegokolwiek powiązania pomiędzy Baczyńskim a jubilerem, pierwszym człowiekiem, który padł ofiarą „diabła“. Tyle że mieszkali w tej samej dzielnicy i to niedaleko siebie.

Major rozporządzał jeszcze jednym atutem. Przypomnijmy, że po zabójstwie inżyniera W. pewien aktor widział na ulicy Kosynierów uciekającego człowieka. Aktor kategorycznie twierdził, że na pewno pozna tego człowieka, gdyby udało mu się zobaczyć go po raz drugi. Zdawałoby się więc, że nic łatwiejszego, jak doprowadzić do konfrontacji.

A jednak doświadczony oficer ani przez moment nie uważał, że nadszedł

już czas takiej próby. Doskonale wiedział, że podobny eksperyment mógłby spowodować niepowetowaną stratę. Jeżeli te wszystkie pajęczki sieci, łączące poszczególne sprawy z osobą Baczyńskiego, są czymś więcej niż tylko zbiegiem okoliczności, to zbrodniarz zostanie ostrzeżony i niczego mu się nigdy nie dowiedzie.

Pomyślny wynik konfrontacji byłby przecież także bez znaczenia. Aktor nie widział człowieka, który strzelał do Władysława W., a jedynie zauważył

mężczyznę biegnącego ulicą Kosynierów. Nawet jak na dowód pośredni, był

to bardzo słaby dowód. Na takich podstawach nie można budować oskarżenia ani żądać od prokuratora nakazu aresztowania. Zręczny adwokat potrafiłby na rozprawie sądowej podważyć te

argumenty i wręcz ośmieszyć prowadzących dochodzenie. Tu trzeba dysponować czymś więcej: bezpośrednim świadectwem, że strzał padł z ręki czy też z broni Baczyńskiego.

A tymczasem major Krzyżewski nie miał najmniejszego dowodu, że kierowca w ogóle posiadał jakąś broń. Jeżeli istotnie jest on zabójcą wszystkich trzech osób i psa, musiałby mieć aż dwa pistolety. Poza tym musiałby okazać się fenomenalnym strzelcem. W ogóle im dłużej oficer milicji zastanawiał się nad sprawą zabójstwa Władysława W., tym bardziej zdawał sobie sprawę z trudności, jakie jeszcze czekają prowadzącego dochodzenie.

Wszystkie zabójstwa świadczyły, że dokonał ich człowiek bardzo zręczny i przewidujący. Taki człowiek, major był tego pewny, nie będzie trzymał

niczego kompromitującego w domu. Wprawdzie oficer milicji uważał w tej chwili Baczyńskiego za bardzo podejrzanego, ale od podejrzeń do dowodów daleka droga. Przeszukanie mieszkania Baczyńskiego na pewno nic by nie dało, a znowu byłoby sygnałem ostrzegawczym.

W tej sytuacji major Krzyżewski zdecydował, że nie podejmie się żadnych kroków przeciwko Baczyńskiemu. Trzeba natomiast rozłożyć nad nim dyskretną opiekę, obserwować, z kim obecnie się kontaktuje i zbadać możliwie dokładnie jego przeszłość. Należy jednak działać ostrożnie, aby nie spłoszyć podejrzanego.

Okazało się, że i zbadanie przeszłości tego mężczyzny nie jest takie proste. Władysław Baczyński mieszkał przed wojną i w czasie okupacji we Lwowie. Wyjechał z tego miasta dopiero w 1945 roku w ramach wielkiej akcji przesiedleńczej na Ziemię Zachodnie. Osiedlił się najpierw w Bytomiu.

Później mieszkał w innych miastach na Śląsku. Raptem po paru latach rzucił tam pracę, zostawił mieszkanie i przeniósł się do Wrocławia. Zarówno w Bytomiu, jak i we Wrocławiu pracował jako kierowca. Bardzo często jednak zmieniał miejsca zatrudnienia. Miał też dłuższe okresy bez żadnego zajęcia.

Już w Bytomiu występował z różnymi nieuzasadnionymi oskarżeniami wobec współkolegów. Ta pasja donosicielstwa pogłębiła się jeszcze we Wrocławiu.

W swoich życiorysach, a w miarę rozwoju dochodzenia major Krzyżewski zebrał ich całą kolekcję — wiadomo, że w każdym kolejnym miejscu pracy żądano od Baczyńskiego takiego dokumentu — kierowca z upodobaniem podkreślał swoją konspiracyjną działalność we Lwowie. Podawał, że należał

do jednej z grup bojowych Armii Krajowej, że był aresztowany przez gestapo i rzekomo przedstawiony

przez swoje dowództwo do wysokich odznaczeń wojskowych.

Pomimo to, jak sprawdziła milicja, Władysław Baczyński nie był

członkiem ZBoWiD-u ani też nigdy nic zgłaszał się do tej organizacji, żeby zweryfikować swoją okupacyjną przeszłość czy uzyskać te odznaczenia, które mu się rzekomo należały i których nie zdążył otrzymać jedynie wskutek szybkiego rozwoju wypadków na froncie.

No cóż... Wiele ludzi nigdy nic dopomina się o należne im odznaczenia i honory. Uważają, że walczyli za swoją ojczyznę, a nie dla otrzymania znaczka, który nosi się w klapie marynarki. Ale Baczyński, jak to wyraźnie wynikało z treści jego życiorysów, taki skromny bynajmniej nie był.

Dlaczego więc nie zabiegał o to, co

— jak podkreślał w swoich pismach — słusznie mu się należało?

Oficer prowadzący dochodzenie postanowił wyjaśnić i ten punkt życiorysu kierowcy samochodowego.

Równolegle prowadzono wywiad dotyczący aktualnego zachowania się Baczyńskiego. Wywiad ten stwierdził, że po rozstaniu się z pracą w Wytwórni Filmów Fabularnych były szofer nie podjął żadnego innego zajęcia. Nawet nigdy się o nie nie starał, chociaż w tym czasie we Wrocławiu nie kierowcy szukali pracy, lecz odwrotnie — praca szukała kierowców. Ci mogli wybierać i przebierać jak przysłowiowy chłop w ulęgałkach.

Poza tym Baczyński prowadził spokojny, uregulowany tryb życia. Dużo nie pił, po knajpach raczej nie łąził. Lubił natomiast odwiedzać targ na placu Nankera. Nieraz długo włóczył się po ulicach i uliczkach miasta. W jakim celu? Tego nie dało się ustalić. Nie ustalono też, żeby z kimkolwiek utrzymywał bliższe stosunki — towarzyskie lub zawodowe.

A jednak w życiu tego człowieka bywały tajemnice, których nic dało się wyświecić. Między innymi ustalono, że zniknął nieraz na długi czas z domu.

Czy wyjeżdżał wtedy z Wrocławia? Nie wiadomo.

Major Krzyżewski usiłował zbadać, czy w czasie tych powtarzających się sporadycznie „zniknięć“ Baczyńskiego we Wrocławiu lub w innych stronach Polski popełniono właśnie zbrodnię zabójstwa lub jakieś inne poważne przestępstwo, które nie zostało wykryte.

Wyniki tak prowadzonego dochodzenia nie były jednoznaczne. I potwierdzały, ale także i zaprzeczały hipotezie, że przestępca udaje się w tym czasie na „gościnne występy“. Zresztą poufny wywiad nie mógł z natury rzeczy być dość ścisły i ustalić, że nieobecność Baczyńskiego w domu trwała akurat tyle dni, ile podawali przygodni obserwatorzy.

Z czego żył ten człowiek?

Od przeszło roku nigdzie nie pracował. Miał na utrzymaniu rodzinę, składającą się z czterech osób. Wśród nich tylko córka pracowała jako ekspedientka w sklepie z materiałami bawełnianymi i zarabiała niewiele ponad tysiąc złotych miesięcznie. Sądząc po ubraniu młodej dziewczyny, nie mogła ona zbyt dużo pieniędzy oddawać matce prowadzącej gospodarstwo domowe. Więc nawet skromnie licząc, Baczyński musiał mieć na utrzymanie domu około trzech tysięcy złotych miesięcznie.

Nie zarabiał, skąd brał te pieniądze?

Nie stwierdzono, żeby Baczyński próbował robić jakieś interesy lub też zarabiał „fuchami“. Jednocześnie nic sprawiało wrażenia biednego człowieka, któremu brakuje pieniędzy na życie.

Na odprawie w Komendzie Wojewódzkiej MO we Wrocławiu, po dokładnym zapoznaniu się z wynikami dotychczasowego dochodzenia, prowadzonego przez majora Krzyżewskiego, postanowiono nadal obserwować zachowanie się Baczyńskiego. Dowody zebrane przeciwko niemu były wciąż bardzo nikłe. Można je traktować jedynie jako punkt wyjścia do dalszego śledztwa. Z drugiej strony milicja zdawała sobie doskonale sprawę, że jej jedynym atutem może być tylko działanie przez zaskoczenie — złapanie byłego kierowcy na gorącym uczynku, z dowodami jego przestępstwa w ręku. Każda inna metoda zawsze zawiedzie i podejrzanemu niczego już się nie

udowodni. Jeśli jest mordercą, trzeba go złapać z bronią w ręku.

Inaczej tego pistoletu nigdy się nie odnajdzie.

Zapadło zatem postanowienie, że w dzielnicy, gdzie Baczyński mieszka, speer jalna ekipa wywiadowców będzie jak najostrożniej obserwować zachowanie się podejrzanego. Bo owa pozorna czy nawet rzeczywista beczynność kazała się domyślać, że ten mężczyzna ma jakieś niejasne plany na przyszłość. Plany raczej niezgodne z kodeksem karnym. Ktoś, kto prawie przez rok pozostaje bez pracy i wcale jej zresztą nie szuka, musi z jakichś źródeł zaopatrywać się w pieniądze. Szczęścia podobno one nie przynoszą, ale na co dzień są wręcz nieodzowne.

To zadanie okazało się bardzo trudne, a nawet niemożliwe do ścisłego wykonania. Z domu, w którym mieszkał podejrzany, wychodziło się na ulicę Szczytnicką. Ale korzystając z różnych podwórek, przejść wśród spalonych i już rozebranych domów, można było bez większego trudu wydostać się i na ulice sąsiednie: Wrocławską, Strubicza, Poznańczyka, a nawet bezpośrednio na plac Grunwaldzki. Obstawienie wywiadowcami tak dużego rejonu przekraczało możliwości majora Krzyżewskiego, który przecież nie rozporządzał żadnymi konkretnymi zarzutami przeciwko człowiekowi, którego polecił obserwować. Dlatego też na wszelki wypadek wzmocniono i zwiększono również liczbę patroli mundurowych, penetrujących ten rejon zwłaszcza w nocy.

Sieć rozciągnięto dyskretnie, starając się niczym nie spłoszyć tego, na którego zastawiono pułapkę. Mijały dni i tygodnie, nic jednak się nie działo.

Czyżby Baczyński spostrzegł, że jest obserwowany?

Nie pozostawało nic innego, tylko czekać. a równocześnie starać się zajrzeć jak najgłębiej w przeszłość tego tajemniczego człowieka, znaleźć nareszcie odpowiedź, czy to morderca, czy jedynie niesłusznie podejrzany?

Milicja rozporządzała zaledwie znikomymi poszlakami. Major Krzyżewski doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział, że nie tylko pi'okurator, ale nawet bezpośredni zwierzchnicy oficera milicji bardzo sceptycznie oceniają te dowody. A

jednak uważał, że właśnie jemu jednemu, Krzyżewskiemu, w przeciwieństwie do poprzednich oficerów dochodzeniowych, którzy także prowadzili tę sprawę, udało się ją wreszcie ruszyć z martwego punktu.

Wszyscy inni błakali się po omacku, akta sprawy rosły, a wyników żadnych nie było. Teraz istnieje podejrzany i istnieją hipotezy. Oczywiście do zakończenia śledztwa potrzebne są żelazne dowody winy tego człowieka. Czy uda się ie zdobyć?

Major zawsze był optymistą. Wiedział, że w jego pracy potrzebne jest nie tylko duże doświadczenie, fachowa wiedza, ale także przysłowiowy łut szczęścia, jak również cierpliwość, cierpliwość i jeszcze raz cierpliwość.

A major Krzyżewski umiał czekać i wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę.

Rozdział VII ZA KURTYNĄ PRZESZŁOŚCI Wcale niełatwo zajrzeć w cudzą przeszłość. Nawet jeśli jest ona stosunkowo niedawna — piętnaście lat wstecz. Wiedzą o tym zarówno historycy, zajmujący się badaniem najnowszych dziejów, jak i oficerowie milicji, kiedy im przypadnie w udziale ciężki obowiązek przeprowadzenia wywiadu w sprawach, które wydarzyły się przed kilku lub kilkunastu laty.

Pamięć ludzka jest instrumentem raczej zawodnym. Znalezienie świadków minionych wydarzeń nastrocza niemało kłopotów. Wreszcie nawet sami ludzie, tak zwane „osoby trzecie“, bardzo niechętnie udzielają informacji, o ileż prościej wykręcić się słowami: „To było tak dawno, że nie pamiętam“.

Podobne przeszkody napotkano przy przeprowadzaniu wywiadu dotyczącego Władysława Baczyńskiego. Wprawdzie lwowiaków mieszka we Wrocławiu sporo, ale odszukanie takich, którzy by znali kierowcę samochodowego z tamtych, okupacyjnych czasów, nie należało do zadań prostych.

Jeszcze trudniej było trafić na ślad dawnych towarzyszy broni Baczyńskiego. Nic dziwnego. Ludzie konspiracji, członkowie grup bojowych, mieli niewiele szans przeżycia okupacji hitlerowskiej. Ponadto wyłaniała się dodatkowa trudność: w każdej konspiracji używano nie nazwisk, lecz pseudonimów. Wiele z nich, takich jak na przykład „Burza“ czy „Zemsta“ lub te, które były po prostu imionami, często się powtarzały. Badając więc przeszłość Baczyńskiego i uzyskując potrzebne informacje, milicja nigdy nie miała pewności, czy chodzi o właściwego człowieka, czy też o członka innej organizacji bojowej, noszącego identyczny pseudonim.

W końcu wszystkie te przeszkody udało się jakoś pokonać. Zebrane informacje nie były zbyt ścisłe, niemniej nawet i te skąpe wiadomości okazały się niezmiernie ciekawe.

Rzeczywiście Baczyński nic kłamał, pisząc w swoim życiorysie, że brał udział w konspiracji we Lwowie i był członkiem jednej z grup bojowych. Nie potwierdziła się natomiast podawana przez niego wersja o jego bohaterskich czynach i kierowniczej roli w tej grupie. Wprost przeciwnie, rola, jaką w niej odegrał, wydawała się nad wyraz podejrzana. Oto komórka, której jednym z członków był właśnie późniejszy kierowca, aż dwa razy zdekonspirowana została przez lwowskie gestapo. Pierwsza wyspa objęła tylko część grupy.

Wtedy Baczyński nie został aresztowany. %

Druga seria aresztowań, a nastąpiła ona w kilka miesięcy później, dotknęła tę grupę bardzo dotkliwie. Prawie wszyscy wraz z całym kierownictwem znaleźli się w rękach gestapo. I oto po paru tygodniach pobytu w więzieniu Władysław Baczyński wychodzi na wolność. Podobno się wykupił. Ale czy za pieniądze? Czy może za inną cenę?

Większość bojówkarzy aresztowanych jednocześnie z kierowcą samochodowym w krótkim czasie rozstrzelano na miejscu, we Lwowie, kilku zesłano na wykończe

nie do obozów koncentracyjnych. Milicji nie udało się odnaleźć nikogo z wówczas zatrzymanych, kto by przeżył tę wyspę i mógł o niej coś bardziej konkretnego powiedzieć. Natomiast pracownik MO, prowadzący ów trudny

„wywiad w przeszłość“, zdobył inną ważną wiadomość. Oto wśród nielicznych, którzy zapewne tylko dzięki szczęśliwemu przypadkowi nie wpadli w łapy gestapo, miała znajdować się Maria S. Była ona w tej samej grupie co Władysław Baczyński. I podobno to właśnie ona utrzymywała z nim bezpośredni kontakt organizacyjny. Poza tym w domu łączniczki, w przemyślnie ukrytym schowku w piwnicy, mieścił się skład broni całej jednostki. Tak więc jedyną pozostałą przy życiu osobą, mogącą udzielić jakichś szczegółowych informacji o Baczyńskim, była Maria S.

Okres życia Baczyńskiego od wyjścia z gestapowskiego więzienia aż do oswobodzenia Lwowa przez Armię Radziecką stanowił dla milicji zupełnie nieznan rozdział. Informacje nie wyszły poza

plotki i pogłoski.

Podobno lwowskie dowództwo AK wydało ostrzeżenie wskazujące, że Baczyński jest konfidentem gestapo. Jednakże ostrzeżenia takiego nie wydrukowano w żadnym z wychodzących wtedy tajnych biuletynów. Nie zachowała się też inna forma tego oświadczenia. Czy istniało więc rzeczywiście? Czy powstało dopiero później w wyobraźni niezbyt wiarygodnych informatorów? Podobno — wiadomość również pochodziła z tego samego źródła

— powołano specjalną komisję dla wyświeatlenia roli Baczyńskiego w obu wyspach. Rzekomo ktoś strzelał z okna do przechodzącego ulicą Baczyńskiego, ale chybił. Mówiono też w swoim czasie, że podobno konfidentem miał być zupełnie ktoś inny. Ktoś, kogo gestapo samo zlikwidowało, gdyż podejrzewało o współpracę z obiema stronami. Podobno...

Żadnej z tych plotek i powodzi różnych nie sprawdzonych informacji nie można było dać wiary w stu procentach. Wynikało z nich tylko jedno: Baczyński na pewno nie był takim bohaterem, za jakiego się podawał. Wiele kart jego życia

rysu. zwłaszcza z okresu okupacji hitlerowskiej. pozostało niejasnych.

Szansę dowiedzenia się prawdy dawało odszukanie Marii S. Wiadomo było jedynie to, że przeżyła okupację. Widziano ją żywą i zdrową we Lwowie już po zakończeniu wojny. Potem Maria S. miała się repatriować do Polski.

Udało się nawet znaleźć potwierdzenie tego faktu. W spisach repatriantów, którzy przeszli przez punkt kontrolny w Przemyślu, figurowało i nazwisko Marii S., zaopatrzone krótką informacją: „Udaje się na Górny Śląsk“.

Sprawdzono. W spisach Centralnego Biura Adresowego nazwiska Marii S. nie było. Znowu rozpoczęły się znużone poszukiwania kobiety, która wprowadziła przekroczyła punkt repatriacyjny w Przemyślu. lecz nigdzie na terenie całego kraju nie została zameldowana. Aż wreszcie...

Osiemnastego lipca 1945 roku patrol MO. przechodząc przez park miejski w Bytomiu, natknął się na górcę w krzakach na ciało młodej kobiety, ubranej w dość zniszczony brązowy kostium. Zastrzelona została czterema kulami- rewolwerowymi. Milicja nie stwierdziła jakichkolwiek śladów walki ani usiłowania gwałtu. Zbrodniarz prawdopodobnie zaskoczył swoją ofiarę, strzelając do niej z nienacka w czasie rozmowy.

Przy zabitej nie znaleziono żadnych rzeczy — nawet torebki, z którą przecież kobieta zwykle się nic rozstaje. Również kieszenie kostiumu były zupełnie puste. Należało przypuszczać, że morderca po dokonaniu swojego czynu zabrał torebkę ofiary i dokładnie zrewidował zwłoki. Dopiero przy szczegółowych oględzinach stwierdzono, że jedna z kieszeni kostiumu jest dziurawa. Jak to często bywa w podobnych razach, za podszewkę kostiumu wsunął się jakiś papier, który okazał się złożoną kopertą, adresowaną na nazwisko Marii S. na pewien adres w Bytomiu.

Pod tym adresem łatwo odnaleziono rodzinę pochodzącą ze Lwowa.

Ludzie ci zeznali, że przed paru dniami przyjechała do nich ich dawna znajoma, Maria S. Skorzystała z gościnności lwowiaków, żeby na kilka dni zatrzymać się w Bytomiu dla załatwienia swoich osobistych spraw. Maria S. miała zamiar osiedlić się na stałe w jednym z miast Dolnego Śląska, ale żadnych konkretnych postanowień w tej sprawie jeszcze nie powzięła. W Bytomiu szukała jakiegoś znajomego pochodzącego również ze Lwowa. Dlaczego zgięła, kto mógł ją zabić, na to

pytanie gospodarze mieszkania nie umieli odpowiedzieć.

Milicja bytomska zadowolona się wówczas stwierdzeniem alibi mieszkańców domu, gdzie Maria S. zatrzymała się w trakcie swojego krótkiego, tak tragicznie przerwane go pobytu. Zresztą czasy były niespokojne. W tym okresie zabójstwa i napady bandyckie nie należały do rzadkości. Po prostu stanowiły tragiczny spadek wojny. Tak więc śledztwo w sprawie śmierci Marii S. szybko zamknięto. Nawet nie robiono sekcji zwłok.

W ten sposób major Krzyżewski odnalazł Marię S. ...na cmentarzu w Bytomiu.

Oficer milicji natychmiast pojechał rozmówić się z dawnymi znajomymi Marii S. Ludzie ci doskonale pamiętali wydarzenia z dawnych lat.

Przypominali sobie również słowa Marii S., że przyjechała do Bytomia specjalnie po to, aby odszukać pewnego człowieka, pochodzącego także ze Lwowa. Mężczyzna ów, kierowca samochodowy, po repatriowaniu miał

jakoby zamieszkać właśnie w Bytomiu. Szczegółowego adresu poszukiwanego Maria S. nie знаła. Natomiast nie kryła jego nazwiska. Tym człowiekiem był... Władysław Baczyński.

Czy Maria S. zdołała przed swoją tragiczną śmiercią nawiązać kontakt z rodakiem ze Lwowa? Major nie tracił nadziei, że uda mu się zdobyć dowód i na tę okoliczność.

Wczesnym czerwcowym rankiem, kiedy w Bytomiu dopiero budzili się ci, którzy podejmowali pracę na pierwszą zmianę i mieli daleko do swoich fabryk czy kopalń, na cmentarz podążała grupka ludzi. Jeden w cywilu, inni w mundurach milicyjnych. Obudzili dozorcę i pokazali mu urzędowy papier. Następnie poszli w ten kąt cmentarza, gdzie znajdowały się groby z 1945 roku.

Dozorca i milicjanci wzięli się do rozkopywania malej, zapomnianej mogiłki, bez krzyża i bez tabliczki. Takiej, na której nawet w Dzień Zaduszny nikt nie zapali świeczki ani nie położy choć jednego kwiatka. Byli to chyba pierwsi ludzie, którzy stanęli nad zapomnianym od prawie czternastu lat grobem młodej kobiety, Marii S. Nie przynieśli co prawda lampek ani kwiatów, ale przyszli po to, by wyświetlić ponurą tajemnicę . śmierci dziewczyny, zamordowanej 18 lipca 1945 roku w parku w Bytomiu. Zjawili się, by po latach dać dowód prawdzie.

Ludzie kopali w milczeniu. Prokurator i major Krzyżewski pilnie obserwowali ich pracę. Wkrótce w płytkim wykopie łopata uderzyła o zbutwiałą deskę. Teraz postępowano już nadzwyczaj ostrożnie. Delikatnie oczyszczono z ziemi wieko trumny. Czas spowodował, że trumna się zapadła i spróchniałe drewno trzeba było usuwać kawałek po kawałku.

Po czternastu latach niewiele pozostało z młodej dziewczyny, dawnej łączniczki grupy bojowców. Tylko kupka kości, resztki zetsałego brązowego kostiumu, guziki. Czas jednak nie potrafił zniszczyć tego, co stało się powodem jej śmierci, a w tyle lat później przeprowadzanej o świcie ekshumacji. Jeden z milicjantów, uważnie przeszukując resztki zawartości trumny, znalazł cztery maleńkie kawałki metalu — cztery kule. Swego czasu one to położyły kres młodemu życiu Marii S. Tych właśnie pocisków szukano na cmentarzu.

Grób z powrotem zasypano. Cztery kule major Krzyżewski schował do koperty wyjętej z czarnej teczki. Jeszcze tylko krótka formalność: spisanie urzędowego protokołu ekshumacji z zaznaczeniem jej wyników oraz podpisy wszystkich uczestników tej czynności.

Kiedy grupa milicjantów opuszczała cmentarz, Bytom już tętnił swoim codziennym

wielkomięjskim ruchem. Krzyżewski najbliższym pociągiem wrócił do Wrocławia.

Rusznikarze nabrali już takiej wprawy w identyfikowaniu pocisków rewolwerowych kalibru 6.35, że tym razem wystarczył im rzut oka, aby stwierdzić prawdę. Kule wyjęte z trumny na cmentarzu bytomskim wystrzelone zostały z tego samego pistoletu, który przyniósł śmierć Hen-rykowi. N. i Stanisławowi S. oraz ulubieńcowi Zenona II. — owczarkowi alzackiemu.

Do akt zatytułowanych kryptonimem „Diabeł przychodzi nocą“ przybyła nowa teczka. Odnaleziono jeszcze jedną ofiarę mordercy.

Był to niewątpliwie wielki sukces milicji. Wynik długotrwałej, ciężkiej pracy grupy fachowców, zbiorowego działania różnych komórek organizacyjnych MO, rozsianych po całym kraju. Wysiłek bezimiennej armii funkcjonariuszy MO, badających długie spisy list repatriacyjnych, studiujących historię ruchu oporu we Lwowie czy szukających śladów Marii S. w Centralnym Biurze Adresowym w Warszawie; a później w najrozmaitszych księgach ludności i spisach w wielu miastach śląskich, nie poszedł na marne.

Jeden człowiek, nawet najzdolniejszy detektyw typu Sherlocka Holmesa czy innego bohatera popularnych powieści kryminalnych, niczego by tu nie dokonał. Po prostu życia by mu nie starczyło dla wyświetlenia skomplikowanej sprawy, z którą zorganizowany, sprawny aparat milicji zdołał uporać się w ciągu niecałych dwóch miesięcy.

Pomimo to do rozwiązania całej zagadki było jeszcze bardzo daleko. Cóż, że na koncie Władysława Baczyńskiego przybyła następna poszlaka, nowy dowód morderstwa popełnionego przy użyciu tej samej broni? Zbyt mało.

aby oskarżać. Nie można przecież zażądać od tego człowieka, aby przedstawił

alibi na dzień sprzed czternastu laty, domagać się informacji, co robił 13

lipca 1945 roku w Bytomiu. Nie można też było mu dowieść, że to jego dłoń trzymała we wszystkich tych wypadkach pistolet kalibru 6,35. Skąd pewność, że on w ogóle ma broń?

Major Krzyżewski zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę, ale wiedział

również,

że dysponuje poważnym atutem, jakim jest cierpliwość. Umiejętność czekania to wielka sztuka, jakże cenna w kryminalistyce, gdzie przy prowadzeniu dochodzenia nieraz całymi latami trzeba czekać na odpowiednią chwilę i na... błąd przeciwnika.

Major umiał czekać. Wiedział, że prędzej czy później nadejdzie ten moment, kiedy uda się złapać mordercę na gorącym uczynku. Nadal więc konsekwentnie zacieśniał sieci zastawione na przestępcę.

A tymczasem Baczyński ani na jotę nie zmienił swojego trybu życia. Nie pracował i zawsze miał pieniądze. Włóczył się po mieście, przesiadywał nad Odrą i ani się domyślał, że jest pod ścisłą, chociaż dyskretną obserwacją.

Mieszkańcy dzielnicy Wrocławia, która przylega do placu Grunwaldzkiego, byli od paru miesięcy bardzo zadowoleni. Ta część miasta nie cieszyła się dotąd sławą najspokojniejszego zakątka grodu nad Odrą.

Ludzie, którym zdarzyło się samotnie wracać w nocy do domu, czynili to z duszą na ramieniu.

Nigdy nie byli pewni. czy za następnym rogiem nie usłyszą miłej propozycji: „Kup, pan, tę cegłę!“ Albo równie popularnej, chociaż bardziej ordynarnej: „Te, facet, wyskakuj z jesionki!. Tylko prędko!“ A obecnie, na wiosnę 1958 roku radykalnie się tu zmieniło. Patrole milicyjne dużo częściej krążyły po placu Grunwaldzkim i po przylegających do niego ulicach, zapuszczając się nawet w ruiny domów nad Odrą. Każdy podejrzany typek był legitymowany, a często odstawiany „do dalszego wyjaśnienia“ do komendy. Nic dziwnego, że bezpieczeństwo i porządek od razu wzrosły. Nawet pijacy nie wysypywali się z miejscowych knajp z chóralnym śpiewem „Wołga, Wołga, mać radnaja“, a najwyżej półgłosem nucili „Góralu, czy ci nie żal“.

Nikt jednak nie znał powodów tak troskliwej opieki, jaką milicja roztoczyła nad okolicami placu Grunwaldzkiego. Opieki, która

-spowodowała, że trzeba było ściągnąć do tej dzielnicy rezerwy z innych części miasta.

A Baczyński?

Czy się domyślał, że to on właśnie jest

głównym powodem tych wszystkich zmian? W każdym bądź razie nie zmienił swojego trybu życia. Nadal nigdzie nie pracował. We dnie dużo chodził po ulicach miasta. Jak gdyby bez żadnego celu. Przesiadywał całymi godzinami nad Odrą. a jeśli była niepogoda, w którejś z wrocławskich kawiarni.

Parę razy wywiadowcy, obserwujący w nocy dom Baczyńskiego, meldowali majorowi, że jakiś człowiek wyszedł na ulicę, ale nie udało się ustalić, czy to był szofer ani też gdzie się udał. Wtedy we Wrocławiu łatwo było przepaść w ciemności lub ukryć się w pierwszym lepszym rozwalonym domu.

Major Krzyżewski nie przeczuwał nawet, że jego wielki dzień jest już tak blisko.

było ciemno. Tylko koło Zielonego Mostu budowano pierwszy „akademik“.

Nieliczne latarnie oświetlały lśniący od deszczu skrawek jezdni i wąski pas chodnika. Dwaj milicjanci, otuleni w nieprzemakalne płaszcze, odbywali swoją zwykłą wędrowkę.

Właśnie ulicą Norwida przechodził jakiś mężczyzna w czarnym, luźnym prochowcu. Skierowali się w jego stronę. Na widok zbliżającego się patrolu człowiek ten w pierwszej chwili zrobił taki ruch, jak gdyby chciał się rzucić do ucieczki. Szybko jednak ocenił, że nie ma ona żadnych szans, więc przystanął i czekał na nadchodzących milicjantów.

— Proszę o dokumenty — powiedział dowódca patrolu, starszy sierżant Jan Kozłowski.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni i okazał legitymację służbową Wrocławskiej Wytwórni Filmów Fabularnych. Legitymacja, nieważna zresztą już od szeregu miesięcy, opiewała na nazwisko Władysława Baczyńskiego.

Kiedy przechodził wyjmował dokumenty, płaszcz nieco się rozchylił i Jan Kozłowski spostrzegł, że Baczyński ma pod ubraniem jakiś lśniący przedmiot, podwieszony na ramieniu. Niewiele się namyślając, milicjant sięgnął pod płaszcz legitymowanego, aby sprawdzić, co też on tak przemyślnie ukrywa'.

W tej chwili mężczyzna szybko cofnął się o krok. W jego ręku błysnął

pistolet. Ale stojący obok kapral Jan Straż nie dał się zaskoczyć. Nastąpiła krótka szamotanina, umiętny chwyt dżdżitsu, nieraz przecież ćwiczonego w szkole podoficerskiej. i oto zduszonemu przekleństwu towarzyszy stuk żelaza padającego na ziemię.

Sierżant podniósł z chodnika mały, oksydowany na czarno pistolet i schował go do kieszeni. Rozbrojonego Baczyńskiego poprowadzono do dzielnicowej komendy milicji. Tam, przy osobistej rewizji byłego kierowcy znaleziono gumowe rękawice, dwie latarki elektryczne ze świeżymi bateriami, siedemdziesiąt sześć sztuk amunicji rewolwerowej, cztery wytrychy, pęk jakichś kluczy i duże nożyce do cięcia drutu. Te właśnie nożyce, podwieszane pod płaszczem, zwróciły uwagę starszego sierżanta. Poza tym zatrzymany miał jeszcze przy sobie dwa kawałki mydła, prawdopodobnie służące mu do robienia odcisków zamków.

Jak na jednego człowieka, wcale ładny arsenał przestępczy.

W Komendzie Dzielnicowej MO sporządzono tylko krótki protokół

zatrzymania Władysława Baczyńskiego wraz z opisem wszystkich przedmiotów, znalezionych przy rewizji. Już nazajutrz przekazano aresztowanego do Komendy Wojewódzkiej MO, do dyspozycji majora Krzyżewskiego. Na biurku oficera złożono również cały majdan, który zatrzymany miał przy sobie.

Aby formalnościom stało się zadość, zawiadomiona o przebiegu wydarzeń prokuratura wydała nakaz aresztowania Władysława Baczyńskiego. Odpis tej decyzji doręczono mu do więzienia, znajdującego się na tyłach gmachu sądów i budynku Komendy Wojewódzkiej MO.

Nie upłynęło i dwanaście godzin od zatrzymania Baczyńskiego, kiedy trafił on do gabinetu majora Krzyżewskiego, sprowadzony tam na pierwsze przesłuchanie.

Aresztowany nawet się nic domyślał, jak bardzo szczegółowym badaniom poddana została cała jego przeszłość. Łudził się, że milicja nie wie o nim nic z wyjątkiem tego, że złapano go z bronią w rękę i z całym złodziejskim ekwipunkiem. Dlatego też podczas pierwszego przesłuchania był kierowca przybrał znamienne taktkę. Taktkę, którą określić można by jako jednocześnie i bardzo naiwną, i bardzo sprytną.

Naiwnością było tłumaczenie się Baczyńskiego, że w/ dniu 29 czerwca wybrał się wieczorem nad Odrę, na ryby. Tam, w pobliżu mostu Grunwaldzkiego, znalazł to całe bandycko-złodziejskie wyposażenie.

— Tak późno i w taki deszcz wybraliście się na ryby? — roześmiał się major w odpowiedzi na to nieprawdopodobne tłumaczenie przesłuchiwanego.

— W nocy i w deszcz ryba najlepiej bierze. A cóż to, nie wolno łapać ryb.

kie

dy się chce? Godzina policyjna obowiązuje we Wrocławiu?

— Wolno łapać ryby — powiedział spokojnie major. — Więc gdzie znaleźliście tę broń?

— W krzakach. Jakieś trzysta metrów od mostu. Mogę pokazać.

— Dziwne, że sucha. Pistolet też nie zardzewiał.

Wszystko było owinięte w szmaty i schowane tak, że Woda tam nie dochodziła.

— Dlaczego nie odnieśliście tego milicji?

— Właśnie niosłem, kiedy mnie zatrzymano.

— To po co sięgnęliście po broń?

— Bałem się, że chcą mnie zabić i obrabować. Skąd ja mogłem wiedzieć, czy to prawdziwi milicjanci, czy też przebrani bandyci? Ten starszy rzucił się na mnie i chciał ściągnąć mi płaszcz.

— A gdzie macie wędkę? Przecież jakoby łapaliście ryby.

- Kiedy znalazłem pistolet i tę resztę, to tak się przestraszyłem, że zupełnie zapomniałem o wędkach. Pewnie do tej pory już je ktoś ukradł.

— Chcecie, Baczyński, żebyśmy uwierzył w te wszystkie bajeczki?

Aresztowany milczał.

A jednak jego tłumaczenie było bardzo sprytne. Żaden sąd by w nie oczywiście nie uwierzył, ale mógł skazać Baczyńskiego jedynie za nielegalne posiadanie broni palnej. A o to zatrzymanemu od początku chodziło: w najgorszym razie czekałby go wyrok kilku lat więzienia. Ostatecznie każdy ma prawo mieć u siebie w domu, a nawet nosić przy sobie, zarówno pęk kluczy, jak też nożyce do cięcia drutu. Byleby tylko nie używał ich do celów przestępczych. Zatrzymany wiedział o tym doskonale i postanowił tak zeznawać, aby wykręcić się jak najmniejszym wymiarem kary.

Pierwszym obowiązkiem milicji po zatrzymaniu osobnika, podejrzanego o dokonanie jakiegoś przestępstwa, jest przeszukanie jego domu. Dlatego też zwracając się do prokuratora o nakaz aresztowania Władysława Baczyńskiego, poproszono

jednocześnie o pozwolenie dokonania takiej akcji. Już w godzinach porannych dnia 30 czerwca 1958 roku milicjanci udali się do mieszkania zatrzymanego. Piwnica okazała się całym arsenałem: leżało w niej kilka łuf karabinowych, jakieś części zamków, lufy sztucerowe i flowerowe, a nawet od zwykłych wiatrówek, oraz kilkadziesiąt naboju karabinowych i rewolwerowych różnych kalibrów. Niektóre z nich spreparowano na pociski „dum-dum“.

W mieszkaniu znaleziono również uszkodzony zegarek męski na rękę, znanej marki. Widać było, że pierwotna, fabryczna oprawa, prawdopodobnie złota, zastąpiona została „pasówką“, wykonaną ze stopu miedzi. Zegarek nie miał wieczka.

Zapytany o ów arsenał broni odkryty w jego piwnicy, Baczyński spokojnie wyjaśnił, że lufy leżały tam już wtedy, kiedy się sprowadził do tego lokalu.

Widocznie uprzedni lokator był rusznikarzem i zajmował się naprawą broni.

A być może broń ta pochodzi jeszcze z niemieckich czasów? Przecież w gruzach domów Wrocławia, w różnych piwnicach oraz w innych zakamarkach ciągle znajduje się broń i amunicję. Miasto było oblężone przez przeszło trzy miesiące. Niejeden dom hitlerowskie wojska zamieniły na bunkier ochronny. Uciekając, pozostawiły broń i amunicję na miejscu.

— Zresztą — dodał aresztowany beczelnie — za to nic mogę odpowiadać. Tam nie ma ani jednej całej sztuki. Możecie sami to sprawdzić.

— Całej sztuki nie ma — przyznał major — ale łatwo z tej zbrojowni zmontować niejedną broń.

— Na tym trzeba się znać. Jak mi dowiedziecie, że ja się na czymś takim znam? Nie jestem z

zawodu rusznikarzem, tylko kierowcą samochodowym.

Baczyński był spokojny i pewny siebie. Nie wiedział, jak wielkie atuty przeciwko niemu trzyma w ręku oficer milicji, że rozmowy te są jedynie wstępem do prawdziwych przesłuchań i przedstawienia mu nieodpartych dowodów winy.

W jednym z pomieszczeń budynku Komendy Wojewódzkiej MO we Wrocławiu znajduje się mała betonowa studzienka.

głęboka ponad metr i wypełniona czystą wodą. Do studzienki wpuszcza się gęstą siatkę. Stojąc nad studnią, rusznikarz strzela w wodę. Kula szybko traci impet

i opada na dno siatki. Nie doznaje przy tym żadnych uszkodzeń. Na jej powierzchni pozostają jedynie ślady gwintów lufy.

Po wyciągnięciu siatki i wyjęciu z niej kuli, można kulę sfotografować albo w całości, albo po rozcięciu i rozprostowaniu pancerza. Przy dużym powiększeniu, jeśli się porówna dwa takie zdjęcia, od razu widać, czy kule pochodzą z tej samej lufy, czy też zostały wystrzelone z innej broni. Podobnie jak nie ma dwóch ludzi

o identycznych śladach palców, tak też nie ma i dwóch luf o takich samych gwintach.

Tego rodzaju doświadczenia przeprowadzono oczywiście i z pistoletem znalezionym u Baczyńskiego. Porównanie tych zdjęć z fotografiami pocisków wyjętych z ciała Henryka N., z trumny Marii S.

i z głowy zabitego psa wykazały ich absolutną identyczność. Porównanie łusek rewolwerowych, jakie wyrzucał pistolet byłego kierowcy z tymi, które leżały opodal zastrzelonego przedsiębiorcy budowlanego Stanisława S., również nie budziło żadnych wątpliwości. To była ta sama broń!

Zapytany o pochodzenie zegarka, znalezionego w trakcie przeszukiwania mieszkania, Baczyński wyjaśnił, że kupił ten zegarek na „szaberplacu“. Nie pamięta jednak, ani kiedy to było, ani nie zna sorze- dawcy. Zegarek od początku nie miał wieczka i był zepsuty.

— Po co więc kupował pan zepsuty zegarek? — zdziwił się major.

— Myślałem, że da się naprawić. Wtedy nie miałem innego.

— No i co? Nie udało się go naprawić?

— Nie.

— Który zegarmistrz to panu powiedział?

— Nie pytałem żadnego. Kiedy w domu obejrzałem zegarek dokładniej, sam doszedłem do wniosku, że do niczego się nie nadaje. Wrzuciłem go więc do szuflacly. gdzie go znaleźliście.

— Spróbuję panu pomóc — uśmiechnął

się Krzyżewski — szkoda, żeby taki dobry zegarek znanej firmy nie miał wieczka.

Oficer milicji podniósł słuchawkę i połączył się z archiwum. Za chwilę do pokoju wszedł dyżurny milicjant. Przyniósł kopertę. Major otworzył ją. Na blat biurka wypadł okrągły, miedziany krążek z lekko zawiniętymi brzegami.

Krzyżewski przyłożył krążek do zegarka. Pasowało. Docisnął mocniej.

Rozległo się lekkie trzaśnięcie i wieczko szczelnie przylgnęło do oprawki.

Zegarek Baczyńskiego znowu miał zagubioną brakującą część. Oczywiście było to to samo wieczko, które milicja znalazła wdeptane w śnieg koło drzwi garażu, w miejscu, gdzie zastrzelony został inżynier Stanisław S.

— Pasuje jak ulał, prawda? — major uważnie spoglądał na Władysława Baczyńskiego.

Były kierowca nic nie odpowiedział. Jednakże widać było, że mimo ciemnej opalenizny wyraźnie zbladł. Na czoło zaczęły występować mu krople potu. Ręce lekko drżały.

Aresztowany w tej chwili bowiem zrozumiał, że gra, jaką z nim prowadzi przesłuchujący go oficer milicji, nie idzie o rok mniej czy rok więcej wyroku więzienia za nielegalne posiadanie broni. Ta gra toczy się o znacznie większą stawkę, bo o głowę wielokrotnego mordercy.

— Nie jest pan ciekaw, gdzie znaleźliśmy to wieczko?

— Nie — odpowiedział głuchym, drewnianym głosem Baczyński.

— Szkoda — stwierdził oficer. — Opowiedziałbym panu ciekawą historię, która zdarzyła się pewnej zimowej nocy na Krzykach. Przypuszczam jednak, że zna ją pan znacznie lepiej ode mnie.

— Mówiłem już — ogromnym wysiłkiem aresztowany zdołał się opanować — że kupiłem len zegarek na „szaberplacu“ już bez wieczka.

— Dobrze — zgodził się major. — Powrócimy następnym razem do tej sprawy.

Dalsze przesłuchiwanie zatrzymanego byłoby w tym dniu już tylko niepotrzebną stratą czasu. Krzyżewski orientował się, że pomimo zaskoczenia Baczyński jeszcze

nie jest na tyle załamany, aby z determinacją przyznać się do swoich zbrodni i wyjaśnić ich motywy. Teraz jedynie by kłamał. Niechże więc w swojej celi sam stara się sobie odpowiedzieć na dręczące pytanie, co wie, a czego dotąd o nim nie wie milicja. Może na następnym przesłuchaniu stanie się bardziej rozmowny?

— Na dzisiaj kończymy — zdecydował oficer. — Pogadamy jeszcze nie tylko o wieczku pańskiego zegarka, ale i o innych ciekawych wydarzeniach.

Krzyżewski wezwał dyżurnego i polecił mu odtransportować więźnia do celi.

Rozdział IX MORDERCA ZACZYNA MÓWIĆ

Przez kilka następnych dni po ulicach Wrocławia krążył pewien młody człowiek. Wyciągał z kieszeni długi spis adresów, odszukiwał na nim najbliższy zakład zegarmistrzowski. stawiał przy tym adresie „ptaszka“ i wędrował do rzemieślnika. Tam kładł na ladę zegarek-pasówkę i pytał:

— Czy to można zreperować?

Zegarmistrz zdejmował wieczko, nakładał na lewe oko specjalną lupę jubilerską, brał do ręki pęsetkę i badał leżący przed nim mechanizm.

— Pęknięta oś balansjera i zerwany włos — stwierdzał.

— Ile to będzie kosztowało? — pytał młody człowiek w jasnym garniturze.

Kiedy specjalista wymieniał cenę, klient bez względu na jej wysokość zabierał zegarek z lady, konstatował: „To bardzo drogo“ i wychodził ze sklepu.

Po oddaleniu się o kilkadziesiąt metrów, posiadacz zepsutego zegarka znowu wyciągał swoją listę, odszukiwał na niej następny zakład zegarmistrzowski — i wyżej opisana scenka powtarzała się bez żadnych zmian.

W ten sposób wywiadowca milicji obszedł z zegarkiem Baczyńskiego prawie całe miasto. Dopiero na jednej z przecznic ulicy Stalingradzieiej odnalazł tego, kogo tak uparcie poszukiwał. Gdy tylko położył zegarek na ladzie, zegarmistrz od razu powiedział :

— Jak Bożę kocham, moja robota. Przecież ja tę pasówkę robiłem. Skąd pan to ma?

— Kupiłem zegarek przed rokiem. Dawno pan to robił?

— O, będzie już parę lat. AJe swoją rękę zawsze poznam.

— Dla kogo pan to wykonywał?

— Dla takiego jednego... On już nie żyje. Był jubilerem. Złoto na oprawce i bransoletka ważyły, pamiętam, przeszło sto gramów. Druga próba. Kupa forsy.

— A pamięta pan może nazwisko tego faceta?

Zegarmistrz, nieco zdziwiony, spojrział sponad okularów na młodego człowieka. Namyslał się chwilę, ale ostatecznie „klient nasz pan“ i za swoje pieniądze wolno mu prowadzić taką rozmowę, jaką uważa za stosowne. To i tak doliczy się do rachunku.

— Pamiętam — mruknął. — Henryk N.

Młody człowiek sięgnął do kieszeni i

wydobył z niej małą legitymację w granatowej oprawie. Zegarmistrz dobrze znał ten rodzaj dowodów: milicja.

— Niech pan zamyka interes — powiedział wywiadowca. — Pojedziemy do KW MO.

— Dlaczego? Za co? — obruszył się rzemieślnik. Nikt nie jest zachwycony takim nagłym zaproszeniem. Tym bardziej przedstawiciel inicjatywy prywatnej.

— Proszę się nie obawiać. Wszystko w porządku. Za godzinę będzie pan z powrotem. Podpisze pan tylko protokół, że robił pan tę pasówkę na zamówienie jubilera Henryka N.

— Naturalnie, że podpiszę — zegarmistrz momentalnie uspokoił się. —

Moja robota. Dobra robota. Nie mam powodu zapierać się czy wstydić.

Takiego szczelnego wieczka byle kto nie potrafi zrobić. Tyle lat, a patrz pan, jak pasuje, że bez podważenia cieniutkim ostrzem nie można icgo otworzyć.

A jednak to szczelne wieczko w decydującym momencie zawiodło Władysława Baczyńskiego! Wskoczyło z zegarka, kiedy bandyta walczył z przedsiębiorcą budowlanym. I w ten sposób małe wieczko stało się głównym dowodem zbrodni.

Tymczasem rusznikarze nie tylko strzelali z pistoletu znalezionego przy byłym kierowcy samochodowym, lecz również rozebrali broń na drobne części. Każdy detal oglądano i badano

szczegółowo, używając szkła powiększającego. Dzięki temu na łożysku lufy odkryto prawie zatarty napis, wyskrobany igłą lub szpilką, który jednak udało się częściowo odczytać.

Były :o jakieś dwie litery, może monogram, i wyraźne słowo „Lwów“.

Nic ulegało żadnej wątpliwości, że w posiadaniu milicji znalazł się pistolet Władysława Baczyńskiego jeszcze z czasów, kiedy był on we Lwowie członkiem grupy bojowej. Organizacja oznaczała w ten sposób swoją broń.

Ktoś nie wtajemniczony mógł jej używać nawet całymi latami i nie dostrzec małego napisu, ukrytego z boku, wewnątrz łożyska lufy.

Te dowody: ustalenie, że znaleziony w mieszkaniu aresztowanego zegarek był przedtem własnością zabitego jubilera Henryka N. i że wieczko tegoż zegarka zostało znalezione później obok ciała przedsiębiorcy budowlanego, Stanisława S., oraz napis na pistolecie — przesądzały całą sprawę. W takiej sytuacji bez znaczenia było, czy oskarżony przyzna się do popełnienia tych dwóch zbrodni, czy też będzie nadal z maniackim uporem im zaprzeczał. Jeśli majorowi Krzyżewskiemu zależało na tym, by usłyszeć z ust samego Baczyńskiego przyznanie się do winy, to jedynie dlatego, że chciał poznać motyw działania mordercy.

Czy u podłoża zbrodni leżała tylko chęć zysku, czy też jakieś inne, może mniej niskie pobudki? Zarówno bowiem milicja prowadząca dochodzenie, jak i prokurator w trakcie śledztwa, z urzędu muszą również starać się o wykrycie i wyświetlenie tego wszystkiego, co mogłoby być później wykorzystane na rozprawie sądowej jako okoliczności łagodzące.

Kiedy major Krzyżewski przedstawił Władysława Baczyńskiemu dowody, stwierdzające jego bezpośredni udział w obu morderstwach, wbrew wszelkim oczywistym racjom były kierowca samochodowy nie przyznał się do winy.

— To niczego nie dowodzi — bronił się. — Takich rewolwerów, pochodzących ze Lwowra, może być dużo. Nie tylko ja należałem wr czasie okupacji do organizacji bojow'ej. Ten, który schował pistolet w krzakach nad Odrą, mógł być również członkiem jakiejś lwowskiej grupy konspiracyjnej. I to właśnie on zastrzelił Henryka N. i Stanisława S. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Mój pech polega jedynie na tym, że to ja znalazłem ukrytą broń i zostałem zatrzymany w momencie, kiedy niosłem ją do komendy milicji.

Tej wersji Baczyński trzymał się wiernie przez kilka następnych przesłuchań, podczas których major Krzyżewski ani słowem nie wspomniał, że zna jeszcze inne ciemne sprawy rewolwerowca.

Na kolejnym spotkaniu oficer milicji nagle zadał Baczyńskiemu zaskakujące pytanie:

— Dlaczego usiłowaliście zastrzelić Zenona H., swojego byłego przełożonego z Polskiego Radia?

Przesłuchiwany długo milczał. Nareszcie zrozumiał, że siedzący naprzeciwko niego człowiek w mundurze milicyjnym wie o nim o wiele więcej, niż to się Baczyńskiemu dotychczas zdawało. W tej sytuacji dalsze naiwne zaprzeczanie wszystkiemu i tłumaczenie wydarzeń przedziwnymi zbiegami okoliczności nie miało sensu. Przestępca postanowił zmienić taktykę. Może dzięki temu zdoła uratować przynajmniej głowę? Po dobrej chwili odpowiedział wreszcie:

— Gdybym chciał, zabiłbym go pierwszą kulą. Miałem go przed sobą o cztery kroki. A jednak nie zrobiłem tego. Psa zastrzeliłem, bo na pewno był

wściekły. Mnie znał, a przecież wiecznie się rzucał. Równie dobrze mógł pogryźć innych ludzi. Parę razy ostrzegałem Zenka, że to wściekła bestia. Nie słuchał. Sam sobie winien.

Przyznanie się do zastrzelenia psa automatycznie obalało poprzednią wersję o znalezieniu pistoletu w krzakach przy moście Grunwaldzkim.

Baczyński już nie zaprzeczał oczywistym faktom, choć starał się je usprawiedliwić.

— Dlaczego zastrzeliliście Henryka N.?

— Nic zastrzeliłem jubilera. Pożyczyłem mu kilkaset dolarów. Mało że Henryk N. nie chciał oddać długu, to jeszcze groził, że mnie zadenuncjuje milicji. Chcąc wyciągnąć od złotnika moje pieniądze, zagroziłem mu pistoletem. Wtedy mój dłużnik rzucił się na mnie, aby odebrać mi broń. W

czasie szamotania padły przypadkowe strzały. Zegarka nie zrabowałem, sam Henryk N. dał mi go jako zastaw za pożyczone dolary.

I to zeznanie, chociaż już znacznie bliższe prawdy od poprzednich wykrętów, było fałszywe. Pomocnik jubilera stwierdził bez wahań, że w dniu swojej śmierci Henryk N. miał zegarek na rękę. Wieczorem, w czasie zamykania sklepu, szef sprawdzał na tym zegarku godzinę.

— A jak to było na Krzykach z tym zabójstwem inżyniera Stanisława S.?

Aresztowany wyjaśniał, że to stało się również przypadkowo.

Przedsiębiorca budowlany był bardzo bogatym człowiekiem. Do swojego majątku doszedł nieuczciwą drogą. Wyzyskiwał pracujących u niego robotników i oszukiwał instytucje państwowe, na których zlecenie wykonywał roboty. Należało więc inżyniera Stanisława S. odpowiednio ukarać. On, Władysław Baczyński, postanowił być wykonawcą wyroku. Miał

zamiar otworzyć w nocy drzwi garażu, wyprowadzić z niego drogi, zagraniczny samochód inżyniera, pojechać tym wozem nad Odrę i zepchnąć auto z wysokiego brzegu do wody. Nie wiedział, że inżynier jeszcze nie wrócił. Kiedy on, Baczyński, usiłował otworzyć bramę garażu, nadjechał

samochód i oświetlił go swoimi latarniami. Przedsiębiorca wyskoczył z wozu i rzucił się na obcego, otwierającego garaż. Znowu, jak poprzednio, w czasie bójki padł strzał. Żadnej teczki z pieniędzmi inżynier Stanisław S. nie miał

przy sobie. Jeżeli leżała gdzieś w samochodzie, to on, Baczyński, ani jej nie widział, ani tym bardziej nie zabierał. Te teczkę najprawdopodobniej ukradła milicja, kiedy zjawiała się na miejscu wypadku.

A więc nie bandyta i złodziej, lecz karząca ręka sprawiedliwości, mściciel wyzyskiwanego ludu! Nowoczesny Janosik czy Robin Hood!

Dla prowadzących sprawę nowa taktyka aresztowanego była zupełnie jasna. Postanowił on tak przedstawić swoje zbrodnie, żeby' oczyścić się z zarzutu dokonania ich z chęci zysku; żeby nie wyglądały na rabunek połączony z morderstwem, a jedynie na zabójstwo w bójce lub w stanic podniecenia. Za morderstwo rabunkowe nasze sądy orzekają najczęściej karą śmierci; zabójstwa, u podłoża których leżą inne motywy, bardzo rzadko karane są szubienicą, a najwyżej dożywotnim więzieniem, z reguły zaś wyrokami w granicach dziesięciu, dwunastu lat. O tę stawkę grał teraz

Władysław Baczyński. Nadal nie podejrzewał nawet, że prowadzący dochodzenie major Wacław Krzyżewski trzyma w swoim ręku jeszcze dwa aluty przeciwko niemu.

W czasie jednego z następnych przesłuchań oficer milicji wyjął z szuflady biurka brązową kopertę i wysypał z niej cztery zaśnieżone pociski.

— To także kule z pańskiego pistoletu

— powiedział do Baczyńskiego.

Aresztowany milczał. Wolał przezornie czekać na dalsze słowa majora.

— Są takie zaśnieżone, bo przez czternaście lat leżały w pewnym grobie.

Daleko stąd, w Bytomiu. Pan mieszkał w tym mieście w 1945 roku?

Po twarzy aresztowanego przemknął cień. Doskonale zrozumiał słowa Krzyżewskiego.

— Więc nawet i do tego doszliście... — powiedział z mimowolnym uznaniem.

— Tak. Wiemy, że w dniu 18 lipca 1945 roku, w parku miejskim w Bytomiu, czterema strzałami ze swojego pistoletu pozbawił pan życia Marię S. Następnie obrabował pan zwłoki, zabierając torebkę z pieniędzmi i dokumentami.

— W czasie wojny i okupacji hitlerow

skiej zastrzeliłem wo Lwowie niejednego agenta gestapo — odpowiedział

cynicznie Baczyński. — Po wojnie tylko tę agentkę. Wydawała w ręce hitlerowców zarówno Ukraińców, jak i Polaków oraz ukrywających się jeńców radzieckich, więc wymierzyłem jej sprawiedliwość w imieniu narodu polskiego. Za to prokurator nie ma prawa mnie oskarżać, za to powinienem być nagrodzony!

— W imieniu narodu polskiego — sucho odpowiedział Krzyżewski —

wyrokują tylko sądy. Jeżeli Maria S. była, jak pan mówi, agentką gestapo, do pana obowiązków należało zawiadomić władze bezpieczeństwa. a nie mordować i rabować.

— Nie wierzę w waszą sprawiedliwość. Zbyt wiele drani chodzi na wolności. Chciałem mieć pewność, że osiągnie ją zasłużona kara. Nie zrabowałem niczego. Torebkę wziąłem, by sprawdzić, czy nie nosi w niej jakichś papierów, które pozwoliłyby odnaleźć współników Marii S., innych szpicli gestapowskich. Wobec tego, że nic nie znalazłem, torbę wraz z pieniędzmi i wszystkim, co się w niej znajdowało, wrzuciłem do kanału. Tak się u nas zawsze robiło po wykonaniu wyroku.

Nie umiał jednak Władysław Baczyński wytłumaczyć dziwnej sprzeczności pomiędzy swymi zeznaniami a zachowaniem się ofiary. Jeżeli Maria S. była rzeczywiście współpracownikiem lwowskiego gestapo, to po wojnie powinna się gdzieś ukryć, a nie szukać człowieka, którego wydała w ręce hitlerowców i który' wiedział o jej zbrodniach. Tymczasem Maria S.

zachowywała się całkowicie odmiennie. Nie ukrywała się przed władzami i nie zmieniała nazwiska, o co w bałaganie repatriacyjnym było niezbyt trudno.

Co więcej, po uzyskaniu wiadomości, że Baczyński mieszka w Bytomiu, specjalnie tam pojechała i rozpoczęła starania, by odnaleźć dawnego współtowarzysza broni. Tak nie postępuje agent gestapo, tak postępuje człowiek, który właśnie szuka zdrajcy.

Wszyscy informatorzy, którzy mieli coś do powiedzenia o Władysławie Baczyńskim 7. okresu jego pobytu we Lwowie, wspominali, że za człowiekiem tym snuły się podejrzenia o zdradę. Nikt natomiast nie wysunął najmniejszego oskarżenia pod adresem Marii S. Przeciwnie, podkreślano jej oddanie sprawie i odwagę; właśnie w jej domu znajdował się magazyn broni. Skład ten nie został nigdy wykryty. Ale być może dlatego, że Baczyński nic o nim nie wiedział?

Ponieważ jednak poza gołosłownymi oskarżeniami nie istniały żadne konkretne dowody współpracy Baczyńskiego z lwowskim gestapo, prokurator sporządzając później akt oskarżenia zdecydował się nie obciążać tym zarzutem podsądnego.

Teraz, po przyznaniu się oskarżonego do następnej zbrodni, majorowi Krzyżewskiemu pozostało udowodnienie mu zamordowania kierownika transportu Wrocławskiej Wytwórni Filmów Fabularnych, inżyniera Władysława W. Zadanie było bardzo trudne. Ekspertyza kryminalistyczna przecież twierdziła, że kula, która trafiła inżyniera w samo serce, nie pochodzi z pistoletu Baczyńskiego. Były kierowca, orientując się, że tym razem oficer milicji może wysunąć przeciwko niemu tylko poszlaki, nie zaś przekonujące dowody, energicznie zaprzeczał swojemu udziałowi w tym morderstwie.

Rozdział X JAK ZGINAŁ?

Obok Władysława Baczyńskiego ustawiono sześciu ludzi, których tak dobrano, aby byli mniej więcej tego samego wzrostu co on. Wszyscy nosili cywilne ubrania: garnitury, letnie wdzianka lub jedynie koszule. Całą siódmkę ustawiono w dużym pokoju KW MO, naprzeciwko drzwi wejściowych. Na ten sam dzień i na tę samą godzinę zaproszono do komendy owego aktora teatru wrocławskiego, który pamiętnej nocy 18 kwietnia 1957

roku widział na Sępolnie mężczyznę biegnącego pustą ulicą Kosynierów.

Przypuszczalnie

spotkał wówczas zabójcę inżyniera Władysława W.

Aktor, wprowadzony do pokoju przez majora Krzyżewskiego, uważnym spojrzeniem obrzucił całą siódmkę. Zbliżywszy się do trzeciego z lewej strony, a był nim właśnie Baczyński, powiedział zdecydowanym głosem:

— To on! To na pewno on. Poznałbym go i za dziesięć lat.

— Czy pan się nie myli? Uprzedzam, że pana zeznanie jest bardzo ważne, ma ogromne znaczenie. Może w zasadniczy sposób wpłynąć na wysokość wyroku — ostrzegął oficer milicji. — Proszę uważnie się przyjrzeć i dobrze zastanowić.

— Nie myślę się. Nie mam najmniejszych wątpliwości. — Aktor potwierdził swoje zeznanie.

Na dany przez majora znak sześciu ludzi wyszło z pokoju. Pozostali wT

nim Baczyński, aktor i major.

— Więc pana zdaniem — powiedział major — ten człowiek uciekał

wówczas stamtąd, gdzie mieszkał Władysław W.? Było to późnym wieczorem w dniu śmierci inżyniera?

— Tak. Widziałem go. Uciekał pędem. Zwróciłem też uwagę, że jak gdyby coś chował pod

płaszczem.

— Co wy na to? — zapytał major aresztowanego.

— To wszystko lipa. Po prostu chcecie mnie wrobić w tamtą sprawę.

Tego człowieka widzę pierwszy raz w życiu. Pokazaliście mu moje zdjęcie i nauczyliście, co ma mówić.

— Nieprawda! — zachnął się aktor, dotknięty do żywego.

— Tak jest — Baczyński był pewny siebie. — Sam pan major stwierdza, że to było w nocy. A ten facet powiada, że ja biegłem. Jak on mógł w ciemności tak dokładnie mi się przyjrzeć, żeby teraz, po prawie półtora roku, rozpoznać mnie pomiędzy innymi? Albo go nauczyliście, co ma mówić, albo znał tamtych pozostałych. Co ja, głupi? Przecież wszyscy tamci byli z milicji, tyle że się przebrali na cywila. Znał dobrze te twarze, bo musiał ich nieraz widywać na ulicy. I dlatego poka

zał na mnie, ponieważ wiedział, że nie jestem z milicji.

— Nie! — przerwał ostro aktor. — Po prostu mam taką pamięć, że nigdy nie zapominam raz widzianej twarzy! Znany jestem z tego!

— Prawda była! Co panu obiecali za przypasowanie mnie do tego interesu?

Major polecił odprowadzić więźnia do celi, sam zaś poprosił aktora do swojego pokoju w celu podpisania protokołu konfrontacji.

Kiedy podziękował świadkowi i został sam, zasiadł za swoim biurkiem.

Nie odczuwał jednak pełnego zadowolenia. Doskonale zdawał sobie sprawę, że wprowadzie aktor rozpoznał napastnika, ale jego oświadczenie nic ma wielkiej wartości dla sprawy. To, co w ordynarnych słowach powiedział

Baczyński, na pewno w elegantszej formie powtórzy na sali rozpraw jego obrońca. Bywają rzeczywiście ludzie obdarzeni fenomenalną pamięcią wzrokową, a ten aktor niewątpliwie do nich należy, lecz sąd z ostrożności procesowej nie uzna takiego dowodu. Trzeba znaleźć coś, czego nie będzie można podważyć.

Oficer milicji jeszcze raz dokładnie przestudiował akta sprawy zabójstwa inżyniera Władysława W. i postanowił ponownie porozmawiać z biegłym rusznikarzem na temat niezwyklej celności strzału i siły pocisku. Może biegły się pomylił?

— O jakimkolwiek błędzie z naszej strony nie ma mowy — bronił się ekspert od balistyki. — Tor pocisku ustaliliśmy z całą ścisłością. Wymierzaliśmy, w którym miejscu stał inżynier w chwili strzału. Mamy pomiary, na jakiej wysokości kula utkwiała w ciele stojącego przy oknie człowieka. Mamy też dane, na jakiej wysokości rozbiła ona szyby. Jeżeli te dwa punkty połączymy, uwzględniając przy tym jeszcze tor pocisku trafiającego w piersi i jeżeli przedłużymy tę linię, to poprowadzi ona na drugą stronę ulicy, na przeciwny trotuar. Zależnie od wzrostu Strzelca i od wysokości, na jakiej trzymał on pistolet, odległość ta musi wynosić od 27 do 30 metrów. Tego nikt nie może zakwestionować. Zresztą w naszym sprawozdaniu znajduje się dokładny wykres

toru pocisku, a także szkic, jak by przebiegała jego droga, gdyby strzelający znajdował się w innym miejscu, to znaczy na chodniku przylegającym bezpośrednio do domu. Wtedy ten tor byłby

bardzo skośny.

— Nie kwestionuję tego — powiedział Krzyżewski. — Chodzi mi o wasze twierdzenie, że kula nie została wystrzelona z pistoletu, którym się posługiwano przy innych zabójstwach Władysława Baczyńskiego. Czy nie zaszła pomyłka w badaniach?

— Nie, to widać nawet bez powiększenia. Na pierwszy rzut oka można odróżnić, że nacięcia gwintów lufy są zupełnie inne niż w tym pistolecie.

— Jeszcze jedno — zauważył major. — W waszej ekspertyzie podkreśliliście, że jest rzeczą zupełnie niezrozumiałą, aby kula wystrzelona z takiej odległości mogła zabić człowieka. Dlaczego?

— To proste. Kaliber 6,35 ma pocisk o niewielkiej sile wybuchowej. Mała gilza zawiera nieznaczny ilość ładunku — prochu strzelniczego. Lufy pistoletów czy rewolwerów tego kalibru są także bardzo krótkie. Pocisk nie może więc rozwinąć odpowiedniej szybkości początkowej. Szybkość ta powstaje jedynie w lufie broni i jest tym większa, im większy ładunek wybuchowy i im dłuższa, oczywiście do pewnych granic, jest lufa. Dlatego też broń kalibru 6,35 jest niebezpieczna jedynie z bliska. A tu kula nie dość, że musiała przelecieć około trzydziestu metrów, ale także przebić dwie szyby, marynarkę, sweter i koszulę. Pomimo to pocisk miał jeszcze tyle siły, że nie tylko dotarł do serca, ale nawet przeszedł przez nie, grzęznąc dopiero pod łopatką. To jest niemożliwe!

— A jednak tak było!

— Dlatego stwierdziliśmy, że ten fakt jest dla nas niezrozumiały. Poza tym niezwykle celność strzału można wytłumaczyć chyba jedynie cudem...

po prostu przypadkiem. Przy tak krótkiej lufie, jak bywa w broniach kalibru 6,35, nie da się to również wytłumaczyć w żaden inny logiczny sposób. Taki pistolet strzela celnie

do dziesięciu metrów. Ale nie do trzydziestu!

— A gdyby... — Krzyżewski zadał rusznikarzowi następne pytanie głosem zdradzającym wyraźne podniecenie — gdyby zwiększyć ładunek wybuchowy i wydłużyć lufę?

— Wtedy odległość skutecznego rażenia z tej broni odpowiednio by się zwiększyła. Ale takich długich pistoletów kalibru 6,35 żadna fabryka broni na całym świecie nie produkuje.

— Fabryki nie produkują, natomiast czy Baczyński nie mógł sobie czegoś podobnego zmontować? W jego piwnicy znaleziono przecież kilkanaście luf karabinowych i sztucerów oraz części ich zamków. Czy z, którejs z tych luf nic można by wystrzelić pocisku o kalibrze 6.35?

Na to pytanie rusznikarz nie umiał odpowiedzieć. Zażądał powtórnej wizji lokalnej w owym prywatnym arsenale broni.

W kilka dni później major Krzyżewski otrzymał wyniki nowych badań.

Tym razem specjalną uwagę rusznikarzy zwróciła jedna z luf. Był to karabin japoński starego typu, używanego jeszcze przed pierwszą wojną światową. Skąd taką broń Baczyński wytrzasnął, pozostało oczywiście do końca jego tajemnicą. Okaz nadawał się raczej do muzeum. Dość, że kaliber lufy odpowiadał z minimalną różnicą kalibrowi „piątki“. W piwnicy aresztowanego znaleziono nawet kilka pełnych pocisków tego rodzaju. Gdy rusznikarze wyjęli z gilzy karabinową kulę i wstawili na jej miejsce rewolwerową, pomimo tej zmiany broń była zdolna do strzału.

Z tak nabitego karabinu oddano strzał do wody. Za chwilę z siatki wyciągnięto pocisk o charakterystycznych karbach — identyczny jak ten, który podczas sekcji zwłok wydobyto z ciała zamordowanego kierownika transportu Wytwórni Filmów Fabularnych, Władysława W.

To była prawdziwa rewelacja! W wyniku żmudnej pracy milicji jeszcze jedno „tajemnicze morderstwo“ doczekało się swojego rozwiązania.

„Wynalazek“ Baczyńskiego nie był

zresztą całkiem oryginalny. O podobnie sfabrykowanej strzelbie, wyrzucającej pociski rewolwerowe, pisał już Conan Doyle w jednej z przygód swego bohatera, genialnego detektywa Sherlocka Holmesa. Być może, że opowiadanie to czytał właśnie były kierowca samochodowy i ono nasunęło mu pomysł wykonania podobnej broni. Natomiast wyłącznie jego przestępczemu sprytowi należy przypisać, że potrafił wystarać się o karabin japoński, jedyny na świecie, którego kaliber odpowiadał wymiarom kuli rewolwerowej.

— Skąd pan miał karabiny, które leżały w pańskiej piwnicy? — zapytał

Baczyńskiego major Krzyżewski na następnym przesłuchaniu.

— Przecież już wyjaśniłem, że to nie moje. Kiedy tam się wprowadziłem, wszystko zastałem w piwnicy. Nie ruszałem gratów, bo nie były mi do niczego potrzebne.

— Bardzo ciekawy jest ten karabin japoński...

Przesłuchiwany lekko drgnął. Z uwagą popatrzył na oficera milicji. Starał się odgadnąć, co ten człowiek wie. Odpowiedział ostrożnie:

— Nie wiem, nie znam się na karabinach.

— Ten japoński karabin ma dwie niezwykle właściwości. Pan go nie ruszał, a on sam powędrował na Sępólno. Czy to nie dziwne? Inną jego cechą jest to, że zamiast kulą karabinową, można z niego strzelać pociskami pistoletowymi kalibru 6,35. I to bardzo celnie strzelać z dużej odległości. Na przykład z przeciwległej strony ulicy Kosynierów do człowieka stojącego w oknie na pierwszym piętrze. Naprawdę przedziwna broń. Co pan o tym sądzi?

Baczyński milczał. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, oficer milicji byłby w tej chwili tylko kupką popiołu.

— Zrobiliśmy taki eksperyment z zamianą pocisku — ciągnął dalej Krzyżewski. — Karby na kuli rewolwerowej kalibru 6,35, wystrzelonej z pańskiego karabinu japońskiego pochodzenia, są identyczne, jak na kuli wyjętej z serca inży-

niera Władysława W. Proszę samemu porównać na tych powiększeniach.

Major podał aresztowanemu dwa zdjęcia. Baczyński oglądał je w milczeniu. Wiedział, jakie pytanie teraz padnie, i najwidoczniej przygotowywał sobie odpowiedź zgodną z dotychczasową linią obrony. Nie omylił się, bo Krzyżewski powiedział, chowając zdjęcia do akt:

— Zgodzi się pan ze mną, że dalsze zaprzeczanie nie ma najmniejszego sensu. Dlaczego pan zabił Władysława W.?

— To był wyjątkowy łajdak. Pozwalał, żeby wszyscy naokoło kradli.

Uprawiał sabotaż. Nie wiadomo, do czego by jeszcze doszło, gdybym go w porę nie ukarał. Nawet po śmierci jeszcze się na mnie zemścił. Taką opinię zostawił mi w aktach, że wkrótce potem mnie zwolniono. Nigdzie nie mogłem znaleźć pracy. Prawie cały rok byłem bez zajęcia.

— Jeżeli Władysław W. uprawiał sabotaż, trzeba było złożyć na niego skargę do odpowiednich władz, a nie zabijać człowieka.

— Składałem. Ale to wszystko jedna banda. Nawet nie chcieli ze mną rozmawiać na ten temat. Ale moja ręka go pokarała. Już nikomu nie zaszkodzi.

— Przed chwilą usłyszałem, że prawie rok był pan bez zajęcia. To prawda. Ale nieprawdą jest, że szukał pan pracy. Proszę wymienić jedną instytucję, do której się pan zwracał w tej sprawie.

— Nie chciałem pracować ze złodziejami. Wszędzie kradną.

— Z czego pan żył przez ten czas?

— To nie wasza sprawa. Byli ludzie, którzy mi pomagali i będą pomagać w przyszłości.

W czasie dalszych przesłuchań Władysław Baczyński konsekwentnie trzymał

się obranej linii obrony. Nikogo nie zabijał i nikogo nie obrabował. Był tylko sprawiedliwym mścicielem, tępiącym występki złych ludzi. Jubiler i przedsiębiorca budowlany zginęli przypadkowo, w wyniku szamotaniny. On, Baczyński, nie chciał ich zabić, lecz jedynie ukarać. Natomiast Maria S. i Władysław W. zasługiwali na śmierć. Ona była współpracowniczką gestapo, on sabotażystą wysokiej klasy, za

pewne również na usługach jakiegoś obcego wywiadu.

Poza tym aresztowany nieustannie opowiadał, jak to wszyscy we wszystkich urzędach kradną, biorą łapówki i popełniają najrozmaitsze nadużycia. W takiej sytuacji uczciwy obywatel nie może spodziewać się obrony ze strony władz tylko zmuszony jest sam wymierzać sprawiedliwość.

:

Baczyński miał swój cel w podobnym naświetlaniu sprawy. Zarówno prowadzący dochodzenie major Krzyżewski, jak i prokurator bardzo szybko rozszyfrowali taktykę poczwórnego mordercy. Usiłował on sprawiać wrażenie, że jest człowiekiem nienormalnym, maniakiem opanowanym obsesją zła, które jego, jedynego sprawiedliwego na świecie, otacza ze wszystkich stron. Z tym złem można walczyć tylko w pojedynkę, bo znikąd nie dostanie się pomocy.

Prokurator i przedstawiciele milicji doskonale orientowali się, że jest to zwykła symulacja; symulacja, która zresztą zaczęła się nie w celi więziennej, tylko znacznie wcześniej, jeszcze na wolności. Krzyżewski był głęboko przekonany, że Baczyński to zawodowy przestępca i że dochodzenie zdołało ujawnić jedynie najcięższe jego zbrodnie. Za nimi musiały się kryć jeszcze inne, włamania lub kradzieże. Przecież nawet aresztowano go z pełnym ekwipunkiem włamywacza. Praca kierowcy była dla Baczyńskiego pewnego rodzaju kamuflażem. Toteż podejmował ją dorywczo i tak postępował, aby znalazł się powód do szybkiego zwolnienia go. Stąd ciągłe donosy na kolegów i kierowników. Donosy, które miały na celu dwie rzeczy — możliwość zmieniania miejsc pracy i wytworzenia ogólnego przekonania, że ma się do czynienia z człowiekiem chorym psychicznie.

Ale ani milicja, ani toż prokurator nie mogą przy prowadzeniu śledztwa kierować się wyłącznie swoimi domniemaniami. Nie wolno im również ograniczać się do gi'omadzenia dowodów

oskarżających o dokonanie przestępstwa. Należy z urzędu brać pod uwagę i to wszystko, co przemawia na korzyść podejrzanego.

Kierując się tymi motywami, posłano Władysława Baczyńskiego na kilkutygodniową obserwację i badania psychiatryczne. Może to rzeczywiście wariat, opanowany żądzą mordu? Opinia biegłych, lekarzy psychiatrów, wypadła jednomyślnie: Ten człowiek jest całkowicie zdrow i na ciele, i na umyśle. Ma pełne rozeznanie swoich czynów i musi za nie ponieść pełną odpowiedzialność.

Przesyłając już sprawę prokuratorowi dla sporządzenia aktu oskarżenia, major Krzyżewski zadał Baczyńskiemu na ostatnim przesłuchaniu następujące pytanie:

— Czy ukrywa pan gdzieś jeszcze broń?

— Oczywiście, że tak. Niejedną.

— Gdzie ona jest?

— Nie znajdziecie jej. Mam dobrze schowane parę „piesków“. Jak wyjdę z więzienia, na pewno „zaszczekam“ panu pod oknem.

Aż do końca Władysław Baczyński był przekonany, że jego konsekwentnie stosowana taktyka obrony odniesie pozytywny skutek i z całej sprawy czterech morderstw wykręci się wyrokiem kilku, najwyżej kilkunastu lat więzienia. A potem będzie jakaś amnestia, może zdarzy się dobra okazja do zorganizowania ucieczki lub przyjdzie przedterminowe zwolnienie „za dobre zachowanie“. Miał absolutną pewność, że otworzą się przed nim bramy więzienia. Morderca albo groził z premedytacją, albo nie potrafił zapanować nad sobą, dość, że otwarcie, prosto w oczy, powiedział

oficerowi milicji, prowadzącemu dochodzenie, że zemsta go nie ominie.

Zresztą te same groźby powtórzy? później kilkakrotnie prokuratorowi w czasie śledztwa.

Rozprawa w Sądzie Wojewódzkim we Wrocławiu trwała kilka dni.

Obrona, prowadzona zresztą z urzędu, chcąc ratować „swojego klienta“, również przyjęła jego taktykę procesową: człowiek nienormalny, który nie miał pełnego rozeznania swoich czynów, opętany manią prześladowczą. Po prostu cierpiący na- pewien rodzaj schizofrenii. Adwokat zażądał

ponownego zbadania Baczyńskiego przez biegłych. Sąd, dając dowód ogromnej bezstronności, poszedł na rękę obronie i dopuścił do ponownego badania oskarżonego oraz zezwolił na obecność biegłych z dziedziny psychiatra na sali rozpraw.

Oskarżony znowu powtarzał swoje o tym, jak reprezentował karzącą rękę sprawiedliwości. ale oczywiście nie zdołał nikogo wprowadzić w błąd. I tym razem biegli orzekli, że jest to człowiek w pełni odpowiedzialny za swoje czyny.

W tej sytuacji musiał zapaść tylko jeden wyrok — kara główna.

Zgodnie z normalną procedurą — oczywiście sąd rozpatrywał tę sprawę w trybie doraźnym — akta powędrowały do Ministerstwa Sprawiedliwości; następnie, wraz z podaniem obrony z prośbą o łaskę, do Rady Państwa. Rada Państwa jednak nie skorzystała z tego prawa.

Władysław Baczyński omylił się. Tego „pieski" nigdy już nikomu nie „zaszczekają“ pod oknem.

Rozdział XI ZNAKI ZAPYTANIA MAJORA KRZYŻEWSKIEGO

Kiedy tamtego pamiętnego dnia wysłuchałem do końca opowiadania oficera milicji. o akcji noszącej kryptonim „Diabeł przychodzi nocą“, nie kryłem swego szczerego uznania dla majora Krzyżewskiego, którego upór i inteligencja doprowadziły do takich imponujących rezultatów.

— To wspaniały sukces — powiedziałem zamykając notes. —

Wyobrażam sobie, jaki pan był dumny. Nie tylko rozwiązał pan zagadkę trzech zabójstw, ale również odkrył sprawcę i powód dawno zapomnianej zbrodni.

— To nie był tylko mój sukces — sprostował mój rozmówca. — Po prostu wynik zbiorowej, metodycznej pracy całej grupy ludzi. No, łatwo nie było.

Fakt... Nawet Warszawa nas wtedy pochwaliła. Komendant Główny MO

przyznał nagrodę dla wszystkich, którzy wyróżnili się przy prowadzeniu dochodzenia, z uwzględnieniem także mojej skromnej osoby...

— Pozwoli więc pan, że złożę mu serdeczne powinszowania.

— Spóźnione o ładnych kilka lat — roześmiał się oficer. — Z tych pieniędzy już dawno pozostało znacznie mniej niż z zeszłorocznego śniegu.

Ale nie o to chodzi... Powiem panu szczerze, że ta sprawa zostawiła wo mnie uczucie pewnego niedosytu. Takiego samego jak w wypadku innego śledztwa, które oznaczyliśmy kryptonimem „Atropina jest moją bronią“.

Krótko mówiąc, nie jestem z niej zbyt zadowolony.

Byłem zaskoczony.

— Ależ dlaczego?... — zapytałem.

— Widzi pan, szukaliśmy sprawcy tajemniczych zabójstw. Odnaleźliśmy go i udowodnili, mu jego zbrodnie. Ale czy ten . człowiek miał na sumieniu tylko to przestępstwa?

— Pan w to wątpi, majorze?

— Tak. Bo nie dowiedzieliśmy się i nigdy nie będziemy wiedzieli, dokąd podązał Władysław Baczyński w ową deszczową, czerwcową noc, kiedy patrol MO ujął go na placu Grunwaldzkim. Miał przy sobie pistolet. Czy znowu szedł mordować? A po co niósł cały ekwipunek włamywacza: wytrychy, klucze, nożyce do cięcia drutu, mydło do sporządzania odcisków?

To by świadczyło, że były kierowca miał również inny fach.: kasiarza lub zwykłego złodzieja. Czy wśród kradzieży

i włamań, których sprawców nie zdołano ująć, były i te dokonane ręką Baczyńskiego? Przecież jego dwa rabunkowe morderstwa nie przyniosły mu aż tak wielkich sum, by mógł długo pozostawać bez pracy, żyjąc na stosunkowo wysokiej stopie. Tymczasem nawet nie udało się nam ustaiić, skąd czerpał dochody.

— To prawda.

— Kiedy Baczyński pracował jako kierowca, zarabiał niezbyt, wiele. Nie przykładał się do swego zajęcia. A przecież miał na utrzymaniu sporą rodzinę. To pierwsza z tajemnic.

— A inne?

— Nie udało nam się do końca rozszyfrować tej lwowskiej historii. Dwie wsypy w grupie bojowej to nu pewno nie przypadek. Ktoś musiał być zdrajcą.

Niedwuznacznie podejrzewano o to Władysława Baczyńskiego. Ale jak było naprawdę?

— Takich okupacyjnych tajemnic jest wiele.

— Nie dowiemy się nigdy, dlaczego Maria S. tak uporczywie szukała po całej Polsce swojego byłego towarzysza z organizacji. Jak również dlaczego on ją zastrzelił? Intryguje mnie przebieg ostatniej rozmowy pomiędzy tym dwojgiem.

— Śmierć Marii S. wyraźnie wskazuje na Baczyńskiego jako na członka organizacji, mającego jakieś kontakty z gestapo.

— Niekoniecznie. Wiemy dobrze, że w każdym ruchu oporu część jego członków wykoleja się i pod pozorem akcji na rzecz kasy organizacji zaczyna uprawiać zwykły bandytyzm. Może właśnie Baczyński w ten sposób działał

we Lwowie? Może Maria S. pomagała mu w tym? Może mieli jakieś porachunki pieniężne z tamtych czasów? Takich znaków zapytania potrafiłbym postawić bardzo wiele, bez najmniejszej szansy na odpowiedź.

— To prawda — ponownie zgodziłem się z rozumowaniem majora.

— Przystępca, zanim na dłużej zamieszkał we Wrocławiu, często zmieniał miejsca swego pobytu. Najpierw Bytom, później Gliwice, parę mniejszych miast. Co robił? Jak tam zbrodnie popełnił? Dowiedzenie się tego wszystkiego przekraczało możliwości naszej niewielkiej grupy ludzi, która i tak przy prowadzeniu dochodzenia wykonała ogromną pracę.

— Więc pan sądzi, majorze, że ten człowiek miał na sumieniu więcej niż te cztery morderstwa?

— Właściwie nie powinienem odpowiadać na to pytanie — uśmiechnął

się major — przecież byłem główną osobą dochodzenia. Ale powiem szczerze: Baczyński był człowiekiem doskonale planującym każdy swój krok.

Zbrodni dokonywał z zimną krwią. Nie sądzę, aby nie miał uprzedniej dłuższej praktyki. Pośrednio świadczy o tym broń znaleziona w jego piwnicy.

— Dlaczego?

— A po cóż by trzymał w swojej piwnicy cały arsenał? Lufy i zamki od najrozmaitszych rodzajów broni? Udało nam się dowieść, że posłużył się jedną z nich — japońskim karabinem. Czy używał innych? Chyba tak, w przeciwnym razie wyrzuciłby cały ten niepotrzebny mu szmelc. Podejrzany szmelc...

— Może dopiero miał zamiar go użyć?

— Tego nigdy się nie dowiemy.

— Tak, na pewno ma pan rację, majorze. Ta sprawa jest pełna różnych tajemnic. Ale tylko w powieściach kryminalnych wszystko na końcu jest jasne. Prawdziwe historie kryją niejedną zagadkę.

— Prywatnie najbardziej zajmuje mnie właśnie jedna... — roześmiał się major Krzyżewski.

— Jaka?

— Bardzo lubię zwierzęta, zwłaszcza psy. Sam mam pięknego wodolaza.

Ogromnie chciałbym wiedzieć, dlaczego wilczur Zenona H. zawsze tak zawzięcie obszcze kiwał Baczyńskiego? Pamięta pan?... Nic dał się przecież przekupić ani kiełbasą, ani kością. Czyżby mądre zwierzę coś przeczuwało?...

KONIEC